N. 20. WARSZAWA d. 6 (18) Maja 1872 ROK.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

I.

Trzęsienia ziemi. Zjawiska ogólne.

Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne jak to wszystkim wiadomo, są to skutki następujące po sobie, lub wzajemnie sobie towarzyszące, jednéj głównéj przyczyny. Nie mamy potrzeby dowodzić tu, że wnętrze ziemi jest w stanie płynnym i do najwyższego stopnia rozżarzonem. Twierdzenie to, przyjęte jako podstawa geologji dzisiejszej, z całą jasnością dowiedzionem zostało, jeszcze przez Leopolda de Buch i Aleksandra Humboldta. Ze stopniowego zaś zwiększania się ciepła w miarę zapuszczania się w głąb ziemi, geologowie obliczyli z przybliżoną dokładnością, grubość skorupy ziemskiéj, albowiem to ciepło wzrastające o jeden stopień na każde 33 metry głębokości, (około 100 stóp), dochodzi do takiego natężenia, że w odległości 54 kilometrów do powierzchni ziemi, wszystkie znane nam ciała, skały i metale, w stanie roztopienia być muszą. Zestawiając więc tę grubość stałéj skorupy ziemskiéj,(blizko 8 mil naszych), z jéj średnicą, znajdziemy że ta stosunkowo jest niezmiernie cienką. Da się ona przyrównać do tratwy unoszącéj się nad oceanem ognistym i własną tylko spokojnością utrzymującéj się. Skorupka ta musi więc doznawać rozmaitych wstrząśnień, w skutek gwałtownych ruchów płynnéj massy która ją unosi. Jeden z teraźniejszych uczonych P. Alexis Perrey, profesor w Dijon, nadał téj myśli formę wysoce naukową i ścisłą. Stara się on dowieść, tak rachunkiem matematycznym, jak i zestawieniem z sobą ogromnéj ilości spostrzeżeń, że siła przyciągania słońca i księżyca, będąca przyczyną przypływu i odpływu mórz na powierzchni ziemi, działa zarówno i na wewnętrze ogniste morze w łonie jéj ukryte, i tłomaczy trzęsienia ziemi działaniem attrakcyjném tych ciał niebieskich, które w ten sposób byłyby peryodycznym skutkiem przypływu wewnętrznego oceanu lawy. Nie jest to miejsce stosowne do rozbioru i oceniania téj pięknéj i ważnéj pracy. Wspominamy o niéj ażeby wykazać ogólną przyczynę trzęsień ziemi i łączność nierozdzielną tego zjawiska z wybuchami wulkanicznemi.

Skoro ogniste fale oceanu lawy wewnętrznéj, uderzą o spodnią stronę skorupy ziemnej, nastąpić musi koniecznie, na pewnéj przestrzeni, *trzęsienie ziemi.* Jeśli ciśnienie lawy będzie miało dość siły, ażeby przerwać skorupę ziemną, wtedy przez to pęknięcie, utworzy się komunikacya z zewnętrzną powierzchnią ziemi i lawy, czyli fale wewnętrznego ognistego oceanu wytrysną na wierzch, nastąpi zatem *wybuch wulkaniczny.* Jeśli ta szczelina, ta komunikacya przypadkowo w jednym punkcie utworzona, pomiędzy wnętrzem a powierzchnią ziemi, pozostanie stałą i wybuch lawy będzie ciągły, jak naprzykład w Stromboli, lub w pewnych przeciągach czasu, jak Etny lub Wezuwiusza, wulkan wtedy nazywać się będzie *czynnym.* Jeżeli zaś otwór ten się zamknie, lub zapełni, będzie to wulkan *wygasły,* jakich wiele znajduje się w różnych krajach. Obecność w takich miejscowościach skał pochodzenia wulkanicznego, trachitow i bazaltów, kształty dawnych kraterów, zupełnie podobne do kraterów obecnie czynnych, łatwo dozwalają geologom oznaczyć miejsca w których dawne wulkany się znajdowały.

Zbadajmy najprzód fenomen *trzęsienia ziemi,* a następnie przejdziemy do *wybuchów wulkanicznych.*

Od czasu zawiązania się towarzystw ludzkich, trzęsienia ziemi były słuszną przyczyną przestrachu i trwogi. Proste wstrząśnienie skorupy ziemskiéj, będące dla historyi naturalnéj naszéj planety mało znaczącym wypadkiem, staje się źródłem okropnych nieszczęść dla człowieka cywilizowanego, który w ciągu kilku sekund, może widzieć rozległe okolice zburzone do szczętu, urodzajne pola, bogate i kwitnące miasta, w jednéj chwili zamienione na stosy niekształtnych gruzów, a tysiące bo nawet setki tysięcy swych bliźnich, ginących pod zwaliskami obalonych domów, lub zapadających się w bezdenne przepaście, pod ich stopami nagle się otwierające.

Zanim opowiemy kilka wypadków tego rodzaju, z tych które w historyi i pamięci ludzkiéj, niezatarte a smutne zostawiły ślady, sądzimy że pożyteczném będzie skreślić ogólny obraz *trzęsień ziemi,* ze stanowiska naukowego uważanych. Pomówimy więc z kolei: o zjawiskach poprzedzających trzęsienia ziemi; o przestrzeniach jakie wstrząśnienia te zajmować mogą; o kierunku i czasie ich trwania; o skutku jakie na powierzchnię i kształty gruntów wywierają, o spustoszeniach przez nie spowodowanych i nareszcie o wrażeniu moralnem, które ten straszliwy fenomen na człowieka wywiera.

Powszechne jest mniemanie, że trzęsienia ziemi zawsze są poprzedzone i jakby zapowiedziane, jakimś niezwykłem zamieszaniem w powietrzu, gwałtowną burzą lub wiatrem palącym, albo nareszcie niespokojnym ruchem igły magnesowéj. W tém jednak żadnéj prawdy nie ma. Ten brak zjawisk zapowiadających trzęsienie ziemi, bynajmniej wszakże dziwić nie powinien, jeśli się wie że cała ich przyczyna jest czysto wewnętrzna, a więc nic wspólnego nie mająca z warunkami atmosferycznemi. Bardzo często przy zupełnie jasném słońcu, przy największym spokoju powietrza, następowały nagle te katastrofy, zamieniające w pole gruzów i śmierci, całe wioski i miasta tysiące mieszkańców w jednéj chwili życia pozbawiając. Straszliwe trzęsienie ziemi w Lizbonie, zaskoczyło stolicę w dniu świątecznym, o dziewiątéj rano, wśród najpiękniejszego dnia tego rozkosznego klima-

tu, w chwili gdy ludność cała tłumnie spieszyła do kościołów. Trzęsienia ziemi zdarzają się zarówno w czasie deszczu jak i w dzień pogodny, przy zupełnéj ciszy powietrza, jak i przy gwałtownych huraganach. Humboldt podczas bardzo licznych trzęsień ziemi, które miał możność badać w swych podróżach po Nowym Świecie, nigdy nie uważał zmiany ruchów igły magnesowéj. Adolf Ermann, zrobił tę samą uwagę w czasie trzęsienia ziemi, które silnie dało się uczuć w Jrkucku, 8 marca 1829 roku. Trzęsienie ziemi w Rio-Bamba, 4 lutego 1797, jedno z największych spustoszeń znanych w historyi fizycznéj naszej kuli ziemskiej, a o którym Humboldt zdołał zgromadzić niezmiernie ważne szczegóły, nie było poprzedzone także żadnym symptomatem atmosferycznym zewnętrznym.

Jednakże bardzo często straszliwy huk poprzedza, towarzyszy, lub następuje po trzęsieniu ziemi. Lecz huk ten w atmosferze ma źródło swoje, pochodzi on z łona ziemi, pochodzi od pękania skał, rozpadających się na ogromnéj przestrzeni, pod parciem rozżarzonych law, które je rozsadzają. Straszliwy huk podziemny poprzedził na kilka minut okropną katastrofę Lizbony, lecz wielkiemu trzęsieniu ziemi w Rio-Bamba, o którem wspominaliśmy, żaden huk nietowarzyszył. Ogromny tylko wystrzał podziemny dał się słyszeć w Kwito i Ybarsa, miejscowościach dość od Rio-Bamba odległych, ale dopiero we dwadzieścia minut po katastrofie. W kwadrans po trzęsieniu ziemi które zniszczyło miasto Lima 28 października 1746 roku, podziemny wystrzał jakby piorunu słyszany był w Truxillo. Także po długim dopiero przeciągu czasu, po silnem wstrząśnieniu w Nowéj Grenadzie, w 1827, którego szczegółowy opis podaje P. Bonssingault, w dolinie Kauka dały się słyszeć podziemne wystrzały.

Rodzaj huku towarzyszący lub poprzedzający trzęsienia ziemi, bardzo różny bywa. Czasem przeciąga się on jakby głuchy brzęk łańcuchów gwałtownie poruszanych, czasem zaś wystrzela nagle jak uderzenie blizkiego piorunu, to znowu jakby gruchot tysięcy bębnów zwolna niknący w oddaleniu. Czasem bywa podobny do gwałtownego tłuczenia się szkła lub porcelany, jakby szklanne skały druzgotano w kawałki.

Fizyka nas uczy, że ciała twarde są wybornemi przewodnikami głosu, drzewo, metale, skały, przenoszą dźwięczne fale prędzéj aniżeli powietrze i gazy. Można przekonać się o tem umieszczając zegarek w końcu belki, a przykładając ucho do drugiego końca. Ruch zegarka który na téj odległości w powietrzu nie mógłby być słyszany, za pośrednictwem belki bardzo wyraźnie słyszeć się daje. W taki sposób i huk zrodzony we wnętrzu ziemi przez pękanie mass mineralnych, przenosi się i daje się słyszeć na wielkich odległościach od swego punktu wyjścia. Według Humboldta, w Karakas, na równinach Kolombazo i na brzegach Rio-Apure, to jest na ogromnéj przestrzeni 1300 myriametrów kwadratowych, okropny huk dał się słyszeć w chwili gdy strumień lawy wylewał się z wulkanu Swiętego Wincentego, położonego w Antylach, w odległości 120 myriametrów. W stosunku téj odległości to mniéj więcéj tak, jak gdyby podziemne huki pochodzące z Wezuwiusza słyszane były w Warszawie. Podczas wielkiego wybuchu Kotopaxi, w 1744, huk podziemnych wystrzałów dochodził aż do Houda, odległego od Kotopaxi o 81 myriametrów, i co dziwniejsza, przedstawiającego różnicę poziomu z tem miejscem o 5500 metrów, (16000 stóp).

Huki te podziemne nie zawsze towarzyszą jednak, lub następują po trzęsieniach ziemi. Od 9 stycznia 1784 roku huki i pioruny podziemne, dały się słyszeć w Guanaxato, stolicy prowincji tegoż nazwiska w Mexyku i trwały przez cały miesiąc, przerywane czasami jakby gwałtownemi wystrzałami. Od 13 do 16 zwłaszcza trwały one bez przerwy, jakby odgłos podziemnéj, olbrzymiéj burzy, jakby ciągły huk grzmotu przerywany co chwila straszliwemi uderzeniami piorunów. Chociaż Guanaxato nie znajduje się w blizkości wulkanów Mexyku, mieszkańcy jednak potrwożeni, tłumnie opuścili miasto, wszystkiego odbiegając. Wielka ilość srebra w sztabach zebrana była wówczas w mieście. Kilka indywiduów, w których chęć łatwego wzbogacenia się obawę śmierci przemagała, odbijało i rabowało opuszczone domy. Powoli jednak poczęto wracać do miasta i odbierać w części zrabowane łupy. Władza miejscowa, wróciwszy także ażeby wstrzymać popłoch, nałożyła znaczną pieniężną karę na rodziny bogate, któreby miasto opuszczały, a biednych zamykała w więzieniu. Lecz tylko stopniowe zmniejszanie się a następnie uciszenie podziemnych hałasów, ludność zatrzymały na miejscu. Żadne najmniejsze wstrząśnienie przez cały ten czas czuć się nie dało, a że huk z wnętrza ziemi tylko pochodził, najlepiéj przekonywała o tem ta okoliczność, że go w kopalniach tamtejszych, głębokich na 500 metrów, (1500 stóp) z większą jeszcze siłą słychać było, nadto dodać musimy, że odtąd nic podobnego nie ponowiło się w téj miejscowości. Huki więc podziemne mogą być i bez trzęsienia ziemi słyszane.

(d. c. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

W drugiéj połowie kwietnia poniósł Lwów dotkliwą stratę. Po długiéj słabości umarł w sile wieku jeden z zastępców galicyjskiéj stolicy w sejmie naszym, członek rady miasta Lwowa i adwokat krajowy dr. Hermann Fraenkel. Zmarły był jednym z najgorętszych zwolenników téj szczupłéj garstki postępowych izraelitów, którzy nie chcąc być dłużéj pasożytami kraju postanowili pójść za głosem rozumu i serca, ażeby bez zatarcia swéj religijnéj odrębności zlać się zupełnie z wielkim obozem prawych obywateli kraju. Nieznający stosunków galicyjskich zdziwi się zapewnie niezmiernie, że podnosząc zalety i zasługi zmarłego na czele stawiamy przymiot, który w całéj Europie przestał już być zjawiskiem niezwykłem, a stał się regułą pospolitą wysnutą z rozsądku, uczciwości i solidarności interesów jednego społeczeństwa. W Galicyi istnieją pod tym względem stosunki całkiem anormalne. Co wszędzie jest powinnością, powszechnie uznaną i przestrzeganą, to u nas staje się zasługą wyjątkową, wymagającą wyjątkowego uznania i zasługującą na nie istotnie. Cała ta kwestja stanowi bolesną i uporczywą ranę w naszym organizmie społecznym, a dotąd mimo mnóstwa pięknych słów, szumnych apostrof i teoretycznych rozpraw na ten temat, prawie nic nie zrobiono w celu stanowczego i skutecznego usunięcia tego rozstroju. Kto w tem najwięcéj zawinił? Cała ludność żydowska nie myśli oczywiście uderzyć się w piersi, a dziennikarstwo wiedeńskie, posiadające w szeregu swoich pracowników tylu zastępców téj części naszéj ludności, jest z góry uprzedzonem i folgując zawziętéj niechęci do Galicyi, przedstawia jéj stosunki w najciemniejszych barwach, i całą winę składa na zacofaną i klerykalną ludność chrześcijańską pogardzającą zasadami równouprawnienia i tolerancyi religijnéj. Z wiedeńskich dzienników oskarżenia te przechodzą do szpalt zagranicznych, i w skutek tego Galicja zjednała sobie reputację najgorszą, w obec tak silnego w całym świecie prądu do równouprawnienia a nawet indyferentyzmu.

Tymczasem wszystkie te zarzuty są poprostu tylko niesprawiedliwą napaścią. Mieszkańcy Galicyi wyznania mojżeszowego są pod każdym względem i najzupełniej równouprawnieni z ludnością chrześcijańską, i jeżeli dotąd istnieje rozstrój pomiędzy temi obozami, to cała wina spada na Izraelitów. Chociaż bowiem korzystają starannie z wszelkich praw, mimo to utyskują ciągle na upośledzenie i niepoczuwają się do żadnych obowiązków wobec kraju. Chociaż sami nawet w najmniejszych drobnostkach nie chcą ustąpić z zajętego stanowiska ściśléj odrębności religijno-społecznéj, mimo to przecież ustawicznie wyrzucają ludności chrześcijańskiéj jéj konserwatyzm bez porównania mniejszy nawet, w najmniéj oświeconych klasach. Z natarczywą odwagą apeluje każdy izraelita do obywatelskiéj solidarności jeżeli idzie o własną korzyść, a za chwilę potem gotów jest sprzymierzyć się ze stronnictwem najnieprzyjaźniejszem krajowi. Pokazało się to aż nadto wymownie w chwili najgorętszéj walki kraju z centralistami wiedeńskiemi. W téj walce wrogie nam dziennikarstwo wiedeńskie, powoływało się ciągle na opór stawiany tym dążnościom przez izraelitów galicyjskich, a ci wcale nie kryli się z tą niechęcią spoglądając na Wiedeń jakby na drugą Mekkę!

Nie przeczymy, że jak wszędzie i zawsze tak i w tym wypadku są jednostki, które są wyjątkami i dla tego należy im się wszelkie uznanie. Do obozu takich ludzi należał zmarły poseł miasta Lwowa dr. Herman Fraenkel i z tego powodu skon jego wywołał żal powszechny. Opróżnione w skutek skonu dr. Fraenkla krzesło poselskie obudzi może żywszy ruch we Lwowie, który w ostatnim roku tak sposępniał i zobojętniał nawet na sprawy publiczne i żywotne, że niepodobna dziś poznać w nim dawnego „Tygrysowa“ (tak nazwał niegdyś spokojny Kraków swego niesfornego rywala.) Przed dwoma laty miasto nasze inną pod tym względem miało fizyognomię. W prawdzie ruch ówczesny był tylko gorączkowym wybuchem, i stawał się dla jednego areną do popisania się wymową i wnioskami oryginalnemi: dla drugiego niewinną zabawką, a dla trzeciego ciekawem i zabawnem widowiskiem. Wprawdzie wszystkie te zgromadzenia kończyły się po większéj części na jałowéj i niepożytecznéj gadaninie a nierzadko i na szkalowaniu, ale mimo to był ten ruch mniejszem złem niż dzisiejsza obojętność nawet wobec spraw zasługujących na to, by się nad niemi zastanowiła uwaga publiczna.

Alеż prawda, że wymagamy rzeczy niemożliwéj absolutnie! Wszakże Lwów sprzeniewierzyłby się swojéj tradycji, zatarłby najciekawszą cechę swego charakteru, gdyby choć raz umiał utrzymać się w granicach umiarkowania i spokoju nie przerzucając się z jednéj ostateczności w oka mgnieniu do drugiéj. Jeżeli bowiem Lwów przed dwoma laty, dla lada jakiéj drobnéj sprawy zwoływał lud sążnistemi plakatami na zgromadzenia pod gołem niebem, i tam z nieprzebłaganą surowością sądził każdy czyn delegacji galicyjskiéj w Radzie państwa, to dziś gdy w Wiedniu ważą się losy rezolucji sejmowéj, nawet w dziennikarstwie swojem objawia dziwną obojętność. Jeżeli dawniéj na kilka tygodni przed wyborami kipiało w całym Lwowie jak w garnku, a poważnione obozy wyborów z równą gorliwością ćwiczyły się w niewinnéj zabawie wybijania szyb, dziś po śmierci jednego posła nikt nawet nie wspomni o przyszłym wyborze i kandydatach spodziewanych. Ale nie ma w tem nic dziwnego, bo tak zawsze u nas było, jest i będzie. Znając pod tym względem naturę Lwowa nie łudziliśmy się wcale nadzieją

że urządzane obecnie w całym kraju składki na cele oświaty przyniosą miliony, których na pewno spodziewali się autorowie projektu. W prawdzie składka nie idzie tak źle jak wmawiają w publiczność niektóre pisma przejęte pessymizmem: wprawdzie znaleźli się hojni ludzie, którzy do składki przyczynili się tysiącem złr.—ale mimo to rezultat dzisiejszy nie odpowiada wcale agitacji i hałasowi z jaką zajmowano się tą sprawą w zimie.

(d. c. n).

Pogadanka.

Jest w świecie jakaś przekora, coś ukrytego, tajemniczego, co radeby wszystko, co cieszy i raduje zepsuć, przeinaczyć i rozbić w kawałki. Cieszy cię mieszkanie, o co mówiąc nawiasem w Warszawie niezmiernie trudno, możesz być pewnym że wkrótce będziesz je miał wymówione lub podwyższone w komornem. Upodobałeś sobie okrywkę, kapelusz lub część jakiéj odzieży, przyjdzie jedna chwila a wszystko przepadło: okrywkę weźmie złodziéj, kapelusz deszcz zniszczy, a ubranie nieostrożność. Cały dzień dźwigasz parasol daremnie, chociaż tu i owdzie na deszcz godzi według wyrażenia dawnych kalendarzy, wychodzisz więc bez niego upatrzywszy pogodę, zachwycasz się nią, wychwalasz, nagle ni ztąd ni z owąd powstaje burza, deszcz spada jak z cebra i wracasz do domu przemokły do nitki.

Z przekorstwem podobnem w setkach różnych zdarzeń spotkać się można co chwila, lud wiejski przypisuje to wpływowi uroku, i lęka się jak ognia pochwały tego w czem mu się wiedzie, w czem ma jakie upodobanie. My słusznie śmiejemy się z uroków i przesądów podobnego rodzaju, a jednak jest coś co czycha aby ci figla lub psotę bolesną wypłatać.

Tydzień temu pogoda cieszyła wszystkich, układano majówki, wycieczki statkami parowemi, radowano się przyjazdem orkiestry Bilsego, a chociaż pragniono deszczu dla odświeżenia powietrza, ale tak sobie, kroplistego, spokojnego coby opłukał dachy, wymył podwórza i ulice, oczyścił z pyłu ogrody, i rozstał się z nami nie zabierając pogody. Życzenie spełnione zostało, deszcz lunął ale z burzą, gradem i piorunami, i dodatki te wcale niepożądane, pod Warszawą przewróciły jeden z piękniejszych wiatraków, w mieście zatrzęsły wszystkiemi oknami, a pod Sochaczewem spaliły dziewięć chat, połamały stare drzewa i zabiły stado owiec z owczarczykiem ukrytym w owczarni. Jest to klęska ale ani ją porównać z zagraniczną. Nawet i pod tym względem niżej od niej stoimy.

W Bombaju np: burza zerwawszy czterdzieści tam zalała całą okolice, utopiła tysiąc ludzi, dwanaście tysięcy pozbawiła schronienia, a przeszło siedemdziesiąt tysięcy środków do życia.

Taką burzę to rozumiem, to już burza prawdziwie zagraniczna, ale u nas lada chmurka na niebie zwraca powszechną uwagę, każdy się nią straszy i kwasi, zapominając, że deszcz dla Warszawy zastępuje po części, choć na krótką chwilę brak dobrej kanalizacji, z którą jakoś trudno przyjść do ładu.

Powiadają, że ta trudność wypływa z uporczywości stron interesowanych; przyszłych przesiębierców podejmujących się urządzenia kanalizacji w widokach zbyt wygórowanych korzyści, i właścicieli nieruchomości życzących sobie wielce znacznego ich obniżenia. Na nieszczęście, obie strony stoją jak mur przy swojem, jedni chcą drzeć łyka, drudzy nie chcą być pniami z łyka obdzieranemi. Na czem się ta sprawa tyle ważna skończy, dotąd trudno odgadnąć, ale najprędzej przewlecze się w nieskończoność, aż do pojawienia się jakiej cudzoziemskiéj kompanji, co zadrwi ze stron obu i łyka zgarnie dla siebie. Kanalizacja jednak na gwałt potrzebna. Brak jej przybywający z prowincji uczuwają tylko przez spadający na nich katar, co choć dusi i dławi ale chwilowo przygłusza powonienie. Stali jej mieszkańcy z katarem noszą się ciągle, i ciągle czują że nie żyją w atmosferze napojonej perfumami. Szczególniej podwórza z małym nader wyjątkiem są fabrykacją niezdrowych wyziewów, ułatwioną wielce przez brak zamiłowania porządku.

Już to z tym porządkiem to czyste utrapienie, szczególniej w domach większych z ludnością kilka setek wynoszącą. Gdzie spojrzeć, kurz, pył, śmiecie, pajęczyna i zbiorniki różnych odpadków kuchennych. Miałbym tu wielką ochotę oskarżyć o to właścicieli, ale i lokatorowie nie lepsi; wart pałac Paca i Pac pałaca. Wreszcie dość się im nadokucza prassa perjodyczna, bo gdzie tylko w niej idzie o wykazanie nielitości, braku miłosierdzia chrześcjańskiego, tam zaraz występuje gospodarz dopominający się o zaległe komorne i lokator zalegający w jego opłacie.

Widocznie opisujący podobne wypadki nie są właścicielami nieruchomości tylko lokatorami niechętnie opłacającymi komorne. Gdyby można mieć dach nad sobą, bez tego nieznośnego obowiązku, byłoby to rzeczą arcy-pożądaną. Ale dach to kapitał, musi więc procentować. Wszelka zaległość zmniejszająca dochód zarazem grozi ruiną. Urzędnik choćby najwyżéj pensjonowany, jednego nawet nie ustąpi grosza co mu się w płacy należy, to samo przemysłowiec, kupiec, rzemieślnik, kramarz, i uważamy to za zupełnie słuszne i naturalne, choć pozwie kogo o należytość, i na mocy wyroku spienięży całe jego mienie. Właściciel kamienicy jedyny wyjątek pod tym względem stanowi. Łajemy go gdy się upomina, wytykamy palcem gdy egzekwuje, a osławiamy w kurjerach gdy się broniąc od strat dalszych, lokatora eksmituje. I cóż z nim ma zrobić? Zostawić? do jednego przybędzie drugi, piąty i dziesiąty równie niepłacący, ot i ciężary przeniosły dochody, a wtenczas co po kamienicy?

W kwestji téj należąc do płacących i to z podwyżkami dość uciążliwemi, nie podnosiłbym głosu gdyby nie wzgląd na zasadę szanowania cudzéj własności, która musi być wszędzie zachowywaną jeżeli ma być trwałą i niewzruszoną. Nieoględne występowanie przeciw właścicielom kamienic narusza ją, bo nieochydza pana X. ale całą klassę właścicieli, wystawiając ją jako chciwców, którym zapłata jedynie dla tego się dopełnia, że nie ma jeszcze prawa usuwającego ten przykry obowiązek. Prassa podobnéj protekcji zaniedbywania obowiązku, powinna unikać, a nawet należałoby jéj przyjąć inne zupełnie postępowanie, to jest badać przyczynę, dla której zaległość w opłacie komornego nastąpiła, i jeżeli spowodowała ją nieoszczędność, życie nad stan lub nieoględność, nie szczędzić winnego dla przestrogi i nauki drugich.

Nie jedyna to jednak nietaktowność prassy perjodycznéj. Wychwalamy wszyscy oszczędność, zachęcamy do niej, wyszydzamy arystokrację, śmiejemy się z uprzedzeń rodowych, a jednak bardzo często sama prassa przekonywa, że to tylko pięknie brzmiące słowa, a w gruncie rzeczy czem byliśmy tem pozostaliśmy.

W humorystyce np. dorobkiewicz wyśmiewany bywa nie z wad ale z przeszłości, gdy on sam lub ojciec jego sprzedawał mydełka lub zapałki.

Nie tak dawno, jak jeden ze sprawozdawców brukowych wyszydził jakąś oszczędną panią, która unikając kupna programu koncertu orkiestry Bilsego, notowała sobie z afisza na rogu ulicy, tytuły sztuk mających być odegranemi. Gdzież tu więc uznanie pracy i staranności, gdzie uszanowanie zabiegu zarobienia dziesiątki godziwym sposobem? Na koncercie zeszłéj niedzieli, pomimo niepewnéj pogody publiczności w Szwajcarskiéj Dolinie zebrała się znaczna nader liczba, obok programów kupnych znalazły się i wycinki z kurjerów, czyż i to wyśmiejemy? Co do mnie, z szacunkiem uściskałbym rękę dopełniającą na kurjerze podobnéj operacji, a wyśmiałbym pochopność do ucieczki z ogrodu, za pierwszem rozpostarciem parasola. Figiel ten po kilka razy ponawiano, za każdym razem popłoch wszystkich poruszał, raz nawet jakaś przybłąkana chmurka miała ochotę roztkliwić się na prawdę nad głowami licznych słuchaczy, ale na szczęście przeszła nie sprawiwszy żadnéj przeszkody.

Był to pierwszy występ orkiestry p. Bilsego w tegorocznym letnim sezonie. Za ukazaniem się dyrektora na estradzie z pałeczką w ręku, ozwały się oklaski jako dowód uznania jego pracy i staranności. Dobór artystów jak w latach dawniejszych tak i dziś nie pozostawia nic do życzenia, a nawet zwiększony został skrzypkiem solistą, który zaraz w pierwszéj części odegrał prześlicznie, pierwszą część jednego z koncertów Bethovena. Nastąpił on po uwerturze Wagnera, owego namiętnego pełnego ognia kompozytora, charakter też spokojny tego mistrza przeszłości, jego poetyczne marzycielstwo tym się lepiéj uwydatniły. Wagner okazał się w całéj pełni swego geniuszu, Bethoven w swéj wielkości niczem niespożytéj i niepokalanéj. Rapsodja węgierska Liszta odegrana z wielkiem życiem i wprawą zakończyła część pierwszą, po której nastąpiły lżejsze utwory więcéj przystępne dla mniéj wymagających, lubujących się szczególniéj w huku kotłów i bębnów, jako dających większą swobodę w rozmowie.

Występy zatem orkiestry p. Bilsego pod dobrą rozpoczęły się wróżbą, z ogólnem zadowoleniem słuchaczy i jéj przewodnika. Wprawdzie nie usłyszymy w nich jak w Bostonie w Ameryce, pięć tysięcy sopranów śpiewających unisono arję z Błyskawicy, lub pięć tysięcy altów wykonywających także unisono utwór Händla, ale zapoznamy się z wielu nieznanemi sobie arcydziełami muzycznemi, a przedewszystkiem z ową niezmordowaną, niczem nie zrażoną pracowitością, która orkiestrze p. Bilsego daje europejską sławę. Pożądane są niezmiernie wieści, że jakiś inżynier w Moguncji odkrył sposób kierowania balonami:—że jakiś p. Nube w Berlinie robi sztucznie czyste złoto, że wreszcie u nas zamyślają w roku przyszłym obchodzić czterechsetletnią rocznicę urodzin Kopernika, ale stokroć razy więcéj bym się ucieszył, gdyby każda skroń nasza pochyliła się pod koroną pracy, gdyby czoła nasze okryły się zmarszczkami natężonéj myśli, co robić, aby nie przepaść z kretesem.

O ubiorach.

Napływ nowości do magazynów Warszawskich nie ustaje. Kostiumy, okrycia i różne materjały na suknie przybywają prawie codziennie, a zatem i sprawozdania ciągle dawać o nich będziemy.

Zaczynamy nasz przegląd od magazynu p. Penkali, gdzie wybór nowych modeli do toalety damskiéj, dosyć jest znaczny.

Kostium popielaty z materjału tak zwanego „Sultan", miał u dołu spódnicy skośną falbankę z tegoż materjału, na którą spadała takaż falbana, oszyta plisą w śpiczaste zęby z gros de Napl'u niebieskiego. Drugą falbanę zakończono główkami: jedną popielatą, drugą niebieską. Powyżéj szły dwie buffy popielate, każda zakończona jak przy falbanie dwiema główkami. Tiunika formy surduta męzkiego, z przodu o wiele krótsza, z tyłu dwie poły otwarte; po bokach duże kieszenie. Stanik bluzkowy, z klapami czyli wyłogami niebieskiemi, jak u surdutów męzkich. Całego stroju dopełniała długa szarfa niebieska przypięta z lewego boku i lecz więcéj do tyłu. Kostiumy takie widzieliśmy powtarzane w kilku cieniach, i kolorach. Kostium z fularu wełnianego koloru écru, miał przód u sukni naszyty czterema falbankami prostemi, oszyte takąż falbanką ale skośną i zakończone główką poult de soie niebieską. Od boków przez całą długość sukni umieszczono falbanę podbitą materją niebieską i ułożoną spiralnie; tylne bryty sukni miały od góry do dołu falbany proste zakończone niebieskiemi spiczastemi zębami. Za tiunikę dano fartuszek oszyty plisą niebieską i frendzlą écru; do tyłu szły dwie szerokie szarfy. Staniczek francuzki stosownie przystrojony niebieskiemi zębami. Rękawy szerokie. Kostium z barężu „sultane écru" miał na spódnicy dwie falbany w zęby wycięte. Tiunika z materjału „Rayure satiné" znacznie ciemniejszéj barwy, oszyta była falbaną skośną w zęby; niesłychanie była ona długa i suto podpięta. Stanik z podwójnym karoczkiem również oszyty falbaną w zęby. Rękawy szerokie. Inna suknia bardzo piękna i gustowna, składała się z przednich brytów z poult de soie niebieskiego, na których to brytach w przerwach, dano falbany z batystu écru i poult de soie niebieskiego na przemianę. Tylną część sukni stanowiła falbana od góry plisowana, która tworzyła całą długość sukni z tegoż batystu. Tiunika była nader ładna, gdyż fartuszek przedni oszyty falbaną układaną, zachodził tak do tyłu, iż tworzyło to jakby podwójną tiunikę. Staniczek do tego zrobiono bluzkowy; rękawy strojne w dwie falbany plisowane. Oprócz tiuniki dano jeszcze karoczek z tyłu, w jedną podwójną kontrafałdę układany i oszyty falbaną. Pasek niebieski z kokardą. Toaletę tę dopełniał kaftaniczek luźny z batystu, bez rękawów, oszyty falbaną plisowaną, która to falbana dana od przodów, przeprowadzoną została przez całą długość pleców. Kostium ten jeden z droższych, był nader ładny i zgrabny. Widzieliśmy taki sam z tegoż materjału ozdobiony aksamitem czarnym, co stanowiło piękną i oryginalną całość.

Niepodobna nam wszystkich gotowych kostiumów opisać, dodamy tylko iż kolory dominujące są: popielaty i écru w różnych cieniach.

Ceny gotowych kostiumów są mniéj więcéj poczynając od rs. 20 do rs. 200.

Stroju zwanego „Vêtement" widzieliśmy również wielki wybór, oszytych gipiurą ażurowo, koronką, pasmanterją, dżetem i frendzlą.

Jedno z lekkiego „Drap velours" koloru écru było haftowane, kaftaniczek miało wpadający do stanu, plecy krótsze znacznie od przodów; do tego była rotonda z kapturkiem również haftowana. Inne vêtement czarne kaszmirowe haftowane jedwabiem żółtym, miało także rotondę. Bardzo piękne vêtement letnie bo bareżowe czarne, składało się na przemian to z czarnego bareżu to z szerokiéj gipiury écru ażurowo naszytéj. Z tyłu w miejsce całego brytu dano dwie szarfy bareżowe na materji czarnéj, oszyte gipiurą. Staniczek francuzki przybrany był gipiurą, na przodzie wiązany na trzy kokardy z czarnéj wstążki. Z okryć letnich czyli raczéj wiosennych widzieliśmy mnóstwo rotond, dla młodszych osób krótkie, dla starszych o wiele dłuższe, lub płaszczyki z pelerynkami; płaszczyki te jak i rotondy ozdobi ne bywają to wstawką gipiurową ażurowo wszytą, to dżetem lub pasmanterją, a każde z tych okryć ma kapturek długi śpiczasty.

Jako wielką nowość podajemy czytelniczkom naszym wiadomość, iż do sukien powłóczystych wieczorowych, noszone są także szarfy nader długie bo na trzy łokcie, szerokie zaś na pół łokcia, które oprócz tych końcy mają dwa pukle do dołu spadające. Szarfy takie bywają z mory francuzkiéj w różnych kolorach lub też na tle czarnem w pasy szkockie.

W magazynie p. Penkali, pokazywano nam fulary prawdziwe chińskie koloru écru. Fulary te różnią się zupełnie od francuzkich, gdyż mają pozór rypsu, są nader mocne i piorą się doskonale. Cena ich od rs. 1 kop. 20 do rs. 1 k. 65. za łokieć. Oprócz fularu widzieliśmy także i materję jedwabną chińską w kolorach białym i popielatym, deseniu mozajkowego, których cena dochodzi do rs. 3 za łokieć. O dobroci wyrobów jedwabnych chińskich mówić nie potrzebujemy gdyż oddawna uznane one zostały za najlepsze pod względem barwy i mocy jedwabiu. Pokazywał nam p. Penkala próbki różnych spodziewanych towarów i tak: materjał „Chaly" zwany biały w pasy atłasowe, na których mieszczą się drukowane kolorowe kwiaty lub „Lino" w mozajkę, przeznaczone na vêtement letnie; daléj muśliny które sprzedawane są w tymże sklepie po kop. 50 za łokieć.

Wreszcie kostiumy perkalowe, których dobór jest także wielki. Jeden z nich koloru „bleu marin" na którym znajdował się deseń drukowany biały tak zwany „à disposition" czyli że deseń mieścił się u dołu sukni, u tiuniki, kaftanika, rękawów, pozostawiając resztę sukni gładką. Inny znów na bordeaux spódnicy, miał szeroką falbanę przeszytą szlakiem mille fleurs na tle écru. Do sukni téj dodane było vêtement z kretonu czarnego w bukiety mille fleurs, z podobnym jak na spódnicy szlakiem.

Trzeci kostium miał spódnicę écru, na niéj vêtement z kretonu białego w chiński deseń.

Czwarty niebieski w szlaki tureckie. Nareszcie na tle białym pasy lub rzucik i szlaki w trzech kolorach, niebieski do cieniu i écru, albo niebieski, brązowy i żółty. I wiele innych których opisać nam trudno.

Na zakończenie dodajemy jeszcze opis kilku kapeluszy. Jeden z nich wiązany z retursem odwiniętym; kolory w nim zwane Watteau, to jest nowy „bleu lune i różowy. Do około główki umieszczone miał liście, na wierzchu zaś piórko różowe. Kapelusz Pompadour wiązany. Rondko u niego bastowe, główka przezroczysta na któréj umieszczono wstążki niebieskie, i róże różowe. Inny kapelusz z retursem. Około rondka skręcenie ze wstążek koloru lapis i brązowych podbitych materją koloru cielistego „Chair". Z tyłu zupełnie nisko dano gałązkę hiacyntu podwójnego, również koloru cielistego. Szarfy miał tiulowe czarne. Okrągły kapelusz bastowy w około oblamowany był aksamitem brązowym; na wierzchu zdobiły go długie końce ze wstążki brązowéj układanéj w pukle, i wiązanka kwiatów w długie gałęzie, rondko zaś okalały liście z owocem niedojrzałym. Okrągły brukselski, miał brzeg lamowany czarnym aksamitem. Główka opasana była podwójnie; raz czarnym, raz pąsowym aksamitem, których to końce z tyłu lekko związano w pukle spadające; na wierzchu dodano pióro czarne z egretką i gałązkę róż pąsowych.

Różne wiadomości.

Jubileusz profesora Grubera. 4-go kwietnia, jak pisze dziennik Birż. Wied. w dniu 25-letniego jubileuszu profesora anatomii w akademji medyczno chirurgicznéj p. Wacława Grubera, w gmachu akademii, sala mieszcząca w sobie do 500 osób, była literalnie napełniona przez studentów medycznych, pomimo tego że most Litejny był zwiedziony. Skoro tylko profesor Gruber ukazał się w drzwiach sali, w murach jéj rozległy się huczne oklaski, które trwały kilka minut. Kiedy przywitanie umilkło, jubilatowi doręczony został w imieniu wszystkich studentów akademii adres, napisany na ogromnym pargaminie; po przeczytaniu znów rozległy się huczne nieumilkające oklaski i „brawo". Szanowny jubilat był głęboko rozczulony przez te dowody miłości, wdzięczności i uszanowania dla niego. Ściskał ręce stojących na przodzie studentów, był ogromnie wzruszony, i widać było jak dreszcz nerwowy przebiegał po jego bladéj, wychudłéj od pracy twarzy. Uspokoiwszy się cokolwiek, jubilat zwrócił się do studentów z następującą mową:

„Dziękuję wam za waszą sympatję, jaką mi okazujecie. Akurat 25 lat temu, 4 kwietnia zawezwał mnie tu człowiek, szanowany nie tylko przez was, ale i przez całą Europę, mianowicie—Pirogow, zaszczyt bycia następcą i naśladowcą którego, przypadł na mój udział. Ile musiałem walczyć nim postawiłem instytucją tę na takiéj stopie, na jakiéj teraz się znajduje. Liczne środki dostarczane przez rząd, któremu powinniście być bardzo wdzięczni, dały wam możność zajmowania się, jak należy, anatomją. I na zaszczyt wasz, powiedzmy, dobrze skorzystaliście z tych środków. Przez pilność i pracę zjednaliście naszéj instytucji poważanie jakiego doznaje nie tylko tu, ale i za granicą. Mniemam, że i w przyszłości podtrzymacie honor tego zakładu. Kiedy byłem świadkiem tego jak studenci stale napełniali instytut, tak w czasie urzędowym jak i nieurzędowym, wtedy uważałem to sobie za największą nagrodę. Dziękujecie mi, ja ze swéj strony także wam dziękuję. Wiele wycierpiałem, ale kiedy widzę, że działalnością moją zjednałem sobie tak wielu przyjaciół, to stanowi dla mnie największe zadowolenie."

Nowy grzmot oklasków był odpowiedzią na tę mowę. Następnie studenci prosili profesora Grubera o pozwolenie założenia żeńskiego stypendjum, któreby nosiło jego imię. Arkusz do zapisywania się na rzecz tego stypendjum szybko pokrył się podpisami. Potem jubilat przeszedł do drugiego pokoju, gdzie oczekiwały na niego kobiety pracujące w instytucie anatomicznym. Kobiety ze swéj strony także doręczyły jubilatowi adres, po przeczytaniu którego, p. Gruber odpowiedział im co następuje.

„Zawsze byłem tego zdania, że kobieta zdolna jest do pracy umysłowéj na równi z mężczyzną, i nie widzę żadnéj podstawy, dla czego im tego odmawiają. Waszemi pracami na trupach dowiodłyście, że pracujecie nie tylko dla przepędzenia czasu, ale szukacie prawdziwéj umiejętności. Jedna z was już skończyła kurs tu, w téj akademji. Inne otrzymały wyższe wykształcenie za granicą i obecnie dwie z nich współzawodniczą z powodzeniem w Petersburgu z najlepszemi doktorami. Nie daleki jest czas, kiedy kobiecie wszyscy przyznają jéj prawa do umiejętności i pracy umysłowéj."

KORESPONDENCJA.

Panu Win: Ole: Historja Święta kosztuje rs. 1. Pielgrzym w Dobromilu rs. 2 kop. 25. Opakowanie i opłata pocztowa kop 60.

Pani Marji Radzyń. Wszystkie wynotowane książki kosztują rs. 13.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Przypominam sobie bardzo dobrze, że pułkownik i ojciec płakali na widok tego ataku. Nie wiem czy to było wzruszenie, jakie zazwyczaj sprawia sztuka, czy przedmiot téj sztuki tak żywo ścisnął za serca poczciwych ludzi!...

Pułkownik kazał ten obraz starannie oprawić tułającemu się introligatorowi, sam własną ręką wykleił do niego złote ramy z arabeskami po rogach, i w następującą niedzielę wraz ze mną zawiózł go do Jedlnéj, aby nim stoczyć zwycięzki bój z francuzką jak ongi Grecy toczyli walki o najlepszą poezję!....

Walka pułkownikowi tym razem nie udała się.

Francuzka skrzywiła nosem na widok całego pokreskowanego starannie arkusza, gdzie każdy guzik był należycie obrobiony jakby dopiero wyszedł z fabryki—a pan Manswet dołączył do tego kilka słów sarkastycznych utrzymując, że pułkownik lepiéj gra wista niżeli Napoleona rysuje!...

Pułkownik zbladł z indygnacji, ręce zadrżały mu i zrobiły ruch jakby szabli szukały przy boku...

Zdaje się, że od tego czasu zapadł pułkownik znacznie na zdrowiu i począł coraz częściéj chorować....

Ludzie zranili go w najboleśniejszem uczuciu—powiedzieli, że on nie umie odtworzyć już tego, który całego jego życia był ideałem!

— Jeżeli ten Napoleon jest zły, rzekł do pana Mansweta uderzając pięścią o Sammosierrę — to i żywy Napoleon był do niczego!...

Na tem zaprzestał dyskusji i nigdy już więcéj z panem Manswetem o rysunkach i Napoleonie nie mówił.

Ukradkiem tylko pokazywałem rysunki moje dalsze Mirandzie, która się niemi nadzwyczajnie cieszyła!...

Przed francuzką jednak kryliśmy się.

Były to pierwsze nasze tajemnice.

Mówiąc o rysunkach nie mogę także przemilczeć o pierwszych lekcjach muzyki.

I tutaj odegrała ważną rolę emulacja z francuzką.

Francuzka uczyła także gry na fortepianie.

Pani Alberta, która sama była muzykalną, utrzymywała, że francuzka nie wiele umie téj sztuki.

Cała jéj nauka zasadzała się na wybijaniu taktu i mordowaniu Mirandy trudnemi akordami.

Pułkownik wraz z panią Albertą sprzeciwiali się podobnéj metodzie uczenia.

Pułkownik utrzymywał, że panienka domu szlacheckiego nie uczy się na to, aby być artystką i po Europie fortepiany rozbijać!

— Dla niéj dosyć jest, konkludował, jeśli umie tę i ową melodją swojską zagrać, a jeśli może, coś przy niéj zanucić, co to szpik w pacierzu rozgrzewa jakby najlepszy specyfik!... Naprzykład pieśń Ursyna o Goworku lub też o tym królu co to będąc dziecięciem.... et cetera! A te wszystkie sztuczne trele to do niczego! Pożal się Boże! A na co nam tego? Czy na tem urośniemy? Melodja i Pieśń Boga rodzicy nie należy do wielkiéj sztuki, ale właśnie największą ich sztuką było to, czego dokonywały!.. Niechże dziś rycerstwo stanie do boju przy tych trelach zagranicznych!...

— Ale wiek nasz pułkowniku nie jest wiekiem bojów! odpowiedział mu raz pan Manswet.

— Co, wiek nasz nie jest wiekiem bojów? przerwał z gniewem pułkownik, nasze życie całe powinno być bojem! Alboż to codziennie nie walczymy z biedą, ze złymi ludźmi, i z własną naszą naturą, która z każdym dniem przygniata nas coraz więcéj do ziemi tak że zapominamy czem jesteśmy a czem być powinniśmy!

Pan Manswet w takim razie urywał dalszy wątek rozmowy, bo pułkownik wpadał w zapał i był coraz większym impetykiem. Natenczas rozkładał pan Manswet z uśmiechem dyplomaty karty i kończył rozmowę:

— Ot zagrajmy sobie!

I teraz chciał pułkownik emulować z francuzką.

Grał na fortepianie, a nawet nieraz opowiadał ojcu, jak to w Warszawie szalały kobiety gdy zasiadł do fortepianu i czułą piosenkę o Dorydzie z towarzyszeniem akordów zaśpiewał!...

Rozumie się, że wszystko to co umiał pułkownik przeszło na mnie w prostéj linii.

Nawet piosenki musiałem śpiewać, bo pułkownik powiedział, że mam głos dosyć dobry.

Piosenki jednak wybierał dla mnie bardzo troskliwie. Starał się, aby treść ich była zastosowana do mego wieku. Miał w tem niemałą trudność, ale pokonywał ją jak mógł przy pomocy Boga.

Raz pamiętam zamknął się pułkownik w swojéj izdebce i cały dzień z niéj nie wychodził.

Wieczorem był zmęczony, ale twarz jego promieniała się z radości.

Po wieczerzy zawołał mnie do fortepianu i zaczął mnie uczyć piosenki, którą miałem się produkować za tydzień u pana Mansweta.

Miał to być bój, wydany francuzce.

Piosnka jak się ze wszystkiego zdawało, była własnéj kompozycji pułkownika.

Text jéj był następujący:

„Przy oknie Zosia siedziała,
Dziewczyna rajskiéj urody—
I przez to okno widziała,
Jak Jasio zrywał jagody.

— Powiedz chłopaczku mój młody,
Rzekła do niego Zosieńka—
Czyli już dobre jagody?
Przynieś mi je do okienka!

I odtąd jagódki zbiera,
Codziennie chłopaczek młody—
Zosienka okno otwiera,
Oboje jedzą jagody!—

Zaiste nie wiem, komu ta piosenka więcéj sprawiała radości—czy mnie czy pułkownikowi?

Pułkownik podgarniał czuba do góry, intonował wzrotki, co chwila poprawiał halsztuka i tak dziwnie odmłodniał, jakby był moim rówieśnikiem!...

Ojciec żartobliwie coś téj piosence zarzucił.

— Co chcesz! krzyknął pułkownik jak lew zraniony, co chcesz od téj niewinnéj piosenki—to najczystsza sielanka!.. Cóż to jest złego? Jasio—Zosia i jagody! Czyż te wszystkie trzy rzeczy nie są wyborne?...

Przez cały tydzień nawet z uszczerbkiem Napoleona, uczyłem się téj piosenki. Pułkownik sam mi towarzyszył na fortepianie.

W niedzielę pojechaliśmy do pana Mansweta.

— Nie traćmy czasu rzekł pan Manswet skrzywiony, bo tak zwany sekretarz, którego obowiązkiem było pisywać listy i grać wista, gdzieś się zapodział—nie traćmy czasu, rozbierzmy tym czasem karty, nim ten maruda przyjdzie!

— Co tam karty! odfuknął pułkownik—ja dzisiaj mam co innego!... Chłopcze otwórz fortepian!

Pułkownik postawił czuba i odchrząknął jak bohater w dramacie.

Pan Manswet nie rozumiał téj sceny. Zrozumiała jednak Miranda, pobiegła do fortepianu i drobnemi rączkami podniosła wieko klawikordu.

Była to dla mnie chwila nader uroczysta. Chodziło to nie tylko o mnie, ale chodziło o pułkownika.

Spojrzałem na Mirandę. Jéj duże łagodne oczy patrzały właśnie na mnie. Odgadywała coś temi oczyma i uśmiechała się do mnie dodając mi otuchy.

Poczułem się silnym tem wejrzeniem i z odwagą zbliżyłem się do fortepianu, przy którym już siedział pułkownik położywszy na każdy wypadek czerwony fular przed sobą.

Po fularze położył swoje kościste palce, ozdobione sygnetami i pierścieniami na klawiaturze i odkrzyknął na mnie kilka razy.

— No, chłopcze jesteś gotów? zapytał.

— Gotów wujaszku! odpowiedziałem.

I zacząłem śpiewać piosenkę.

Wszyscy słuchali z uwagą.

Śpiewałem głosem drżącym od wzruszenia....

Miranda utopiła we mnie swoje błękitne oczy a twarz jéj zapłonęła lekkim rumieńcem.

Gdy ostatnie akordy z należytym hałasem przebrzmiały, podniosła najprzód francuzka nos do góry.

— *Fi donc!* wycedziła swoim sopranikiem fałszywym.

— *Bravo!* z ironicznym uśmiechem zawołał pan Manswet i położył rękę na ramię pułkownikowi—ale jeżeli prawdę mam ci powiedzieć pułkowniku i w jednéj z gałęzi sztuk pięknych przyznać ci medal, to już ci powiem, że lepiéj rysujesz Napoleona niżeli tworzysz sielankowe piosenki.... Nie traćmy czasu!

Pułkownik posiniał znowu jak przy Napoleonie zacisnął usta i wyciągnął—trefle!

— Przegrasz dzisiaj pułkowniku! rzekł pan Manswet.

— Już tak jak przegrałem! odpowiedział pułkownik machnąwszy ręką.

W tem po pokoju jakby echo jakie, rozległ się cichy, pieściwy głosik, który i melodję i słowa piosenki cicho przy fortepianie powtarzał.

Była to Miranda. Z jéj pięknych usteczek wyszła ta prosta melodja tak uroczo, że wszyscy na chwilę umilkli!

— Nie, nie przegram! zawołał pułkownik z rozpromienioną twarzą—nie przegram!

I wszyscy odeszli do kart—a ja zostałem z Mirandą i pomagałem jéj do piosenki.

Nim wieczerzę podano śpiewała już Miranda całą piosenkę swoim prześlicznym, pełnym głosem.

Ale pułkownik przegrał wista z radości.

— Nie grałem dzisiaj z uwagą, mówił do pana Mansweta.

— Dwom Bogom nie można na raz służyć, odpowiedział pan Manswet z uśmiechem dyplomaty—nie można być poetą i dobrze grać w karty!

Pułkownik stawiał co chwila czuba i uśmiechał się jak człowiek, który odbiera zasłużoną pochwałę.

Mieliśmy teraz dwa środki więcéj, które nas coraz bardziéj zbliżały do siebie.

Trudno jest naznaczyć granicę i czas, odkąd właściwie poczyna się uczucie miłości.

Zdaje się, że ani tych granic, ani tego czasu nie ma, w którymby dopiero poczynało się to boskie uczucie!

Jest tylko różnica w objawieniu się tego uczucia

U ludzi dojrzałych poczyna się ona inaczéj, bo już pomija wszelkie subtelne pośrednie przejścia. U młodszych istot zaczyna się ono od bardzo subtelnych drgnień serca, od czegoś, czego słowem określić jeszcze nie można ani żadnego nie można mu dać nazwiska.

I w ziarnku orzecha jest już olbrzymie przyszłe drzewo, a któż może je ujrzeć chociażby za pomocą mikroskopu w téj łupinie?

W młodziutkich naszych sercach rosła widocznie ta dziwna sympatja, która kiedyś miała wypuścić zielone listki i okryć się cudownym kwiatem!...

Dusze nasze widocznie zbliżały się ku sobie, chociaż ostatecznego celu nie byliśmy jeszcze świadomi.

Nasze schadzki przybrały teraz inną formę.

Już nie stawialiśmy fortec, ale zabawialiśmy się rysunkami grą i śpiewem.

Grywaliśmy niektóre łatwe kawałki na cztery ręce, śpiewaliśmy małe duety... a jak to wszystko zbliża dwie dusze, dwa serca do siebie!...

Nasze akordy łączyły się w jedną melodję, nasze głosy zlewały w jedną pieśń!....

Wszechwładne uczucie działało tu mimo naszéj wiedzy i woli, byliśmy sobie siostrą i bratem, bo inaczéj nie mogliśmy jeszcze nazwać téj sympatji.

Ja żyłem jéj życiem, ona we mnie widziała siebie. Co mnie dotknęło, ona nad tem płakała,ja bolałem, gdy ją wystrofowano.

Francuzka była zajęta swoim Paul de Kockiem, pan Manswet grał wista i gniewał się na swoich partnerów, a pani Alberta krzątała się koło domowego gospodarstwa.

Zostawiono nas przy naszych zabawach i nie przeszkadzano nam, byleśmy tylko grzecznie się sprawowali, jak od czasu do czasu mawiała francuzka.

Otóż w tym pięknym czasie naszych marzeń i snów bez nazwy i określenia zaszło zdarzenie, o którem powyżéj wspomniałem, że do dziś dnia zostało mi w pamięci, chociaż wiele już z téj pamięci wyrugować musiałem!

W górnych pokojach dworu pana Mansweta była tak zwana galerja obrazów.

Pan Manswet na sposób majętniejszych ludzi chciał mieć w swoim dworze między innemi i to, co za granicą galerją nazywają.

Zaczął więc skupywać po różnych miejscach gdzie się dało stare obrazy, kazał do nich dorabiać złote ramy, przylepiać numera i wieszał w górnych pokojach na ścianach.

Zbiór ten różnorodnych obrazów nazywał się wtedy „galerją”, którego to słowa kazano służbie używać, aby wszyscy o tem wiedzieli.

Ta więc tak zwana galerja była często miejscem naszych zabaw.

Francuzka lubiła tam nas prowadzić, bo zasiadłszy w jednym z czterech pokoi przy oknie, mogła wygodnie bez kontroli pana Mansweta czytać romanse, czego tenże nie bardzo lubił, z powodu, że na tem nadzorowanie znacznie cierpiało.

Dla nas było to miejsce dla zabaw bardzo pożądane. Najprzód ubranie ścian w liczne obrazy działało na nasz umysł bardzo przyjemnie, powtóre mogliśmy po obszernych salach biegać, chować się lub z różnych kątów śpiewać dueciki, które naśladowały echo.

I same obrazy zajmowały nas także. Szliśmy od jednego do drugiego i zdawało nam się, że jesteśmy w licznem towarzystwie. Tam wąsaty senator jakiś patrzał na nas z ukosa i brwi marszczył, słodkim uśmiechem w stroju zakonnym nęciła nas do siebie prababka Mirandy i podnosiła rękę jakby nas błogosławić chciała!..

Marsowatemu senatorowi płataliśmy figle i groziliśmy mu wzajem miną i ręką, a poczciwéj prababce posyłalismy pocałunki i pieszczoty!..

W ostatniéj sali wisiały kopie portretów familijnych. Między niemi był portret kobiety już nie młodéj w stroju nowożytnym ubranym w koronki wstążki i różne swiecące ozdody.

Był to portret ciotki Mirandy, pani szambelanowéj, która mieszkała w Petersburgu.

Twarz szambelanowéj miała dla nas coś niemiłego. Naprzód oczy jéj były tak zrobione, że zawsze patrzyły za nami, gdzieśmy tylko poszli.

Z powodu tego nazwaliśmy ją guwernantką numer drugi i płataliśmy jéj figle nielada!

Oprócz tych obracających się za nami oczów, miała szambelanowa na twarzy wyraz ostry, zimny, jakby sama od zimna drżała. Usta jéj szerokie i złośliwie zakąszone zdawały się urągać naszym zabawom. Chmurne, zmarszczone czoło patrzało na nas z pogardą i złością.

Takie wrażenie sprawiała na nas szambelanowa. Miranda często nawet o tem ojcu mówiła, ale pan Manswet utrzymywał, że to tylko błąd malarza, że kolory zblakły na portrecie; że szambelanowa wcale tak żywa nie wygląda.

Mimo to portret szambelanowéj straszył nas zawsze. Ile razy weszliśmy do téj sali, zawsze przejmował nasz dreszcz, a Miranda często oczy zamykała, aby jéj chmurnego wejrzenia nie wiedzieć.

Otóż razu jednego, gdyśmy do sali weszli, Miranda jakoś niespodzianie spojrzała na portret i mimowoli krzyknęła z przestrachu.

Rozgniewałem się na szambelanową, że Mirandę temi oczami nieustannie straszy, i postanowiłem raz temu koniec położyć.

Postanowienie moje było śmiałe ale dla Mirandy nie było dla mnie nic niepodobnego!

Chciałem po prostu zalepić papierem te oczy, które nas wszędzie prześladowały.

Zamiar ten jednak nie był tak łatwy do wykonania.

Portret wisiał pod samym sufitem, a sufit w sali był bardzo wysoki. Nie było żadnych schodków, a zresztą zamysł mój musiałem uskutecznić bez hałasu, aby czytająca w ostatnim pokoju guwernantka tego nie spostrzegła.

Nie było więc innéj rady, jak użyć do tego tych środków, jakie były pod ręką.

Pod ręką miałem tylko jeden stołek, który oparty o mur okna mógł mi posłużyć do dopięcia celu.

Otworzyłem więc okno pierwszopiętrowe, postawiłem na murze stołek i używszy nieco gimnastyki, w któréj ćwiczył mię pułkownik, wdrapałem się na ten stołek, który tymczasem trzymała Miranda swemi drobnemi rączkami.

Miranda przeczuła niebezpieczeństwo, i chciała mię odwieść od tak azardowego przedsięwzięcia.

Jéj obawa niestety podnieciła tylko moją śmiałość. Chciałem w jéj oczach dokazać czegoś, co było rzeczywiście niebezpiecznem.

Stanąłem więc na stołku, który słabo opierał się o mur okna i wygiąłem się ku sali, aby wiszącą na ścianie szambelanową dostać...

W téj chwili posunął się stołek i wypadł za okno a ja głową naprzód uderzyłem o posadzkę!

Kilka chwil nic nie wiedziałem o sobie.

Czułem tylko że jakiś mróz przemknął mnie całego. Potem zimno rozszerzało się coraz więcéj, doszło do serca i zdawało mi się że wtedy stałem się bryłą lodu.

Było to uczucie przykre.... okropne..

Nagle poczułem na ustach jakby płomyk jaki ożywczy — ciepło od tego płomyka rozszerzało się tak samo jak pierwéj zimno... serce odtajało powoli i zaczęło znowu bić... otworzyłem oczy!

O nieba! Cóż obaczyłem?

Miranda siedziała przy mnie na ziemi, płakała rzewnie i śród łez okrywała usta moje gorącemi pocałunkami!..

Ta chwila wycisnęła się w duszy mojéj głęboko, śmierć nawet, mam silną wiarę—nie zmażą jéj z tamtąd!

Wezmę ją z sobą na Sąd Boga i tam okażę ją Sędziemu, gdy wszystkich sądzić będzie.

Otworzyłem oczy i przymknąłem je napowrót aby téj chwili niepłoszyć.

Cóż to za dziwny był instynkt młodziutkiéj Mirandy, że w ten sposób omdlałego chciała napowrót do życia przywrócić? Któż jéj podał tę myśl, że to będzie dla mnie ratunek najpewniejszy?

Gdy kilkanaście lat potem czytałem Romea i Julję, Szekspira, zrozumiałem doskonale te słowa Julii: Twój pocałunek w grobie mnie ocucił!....

Tu jednak stało się odwrotnie! Jéj pocałunki ocuciły mnie, przywiodły do życia...

Myśl straszna przyniknęła teraz serce moje ..

Pomyślałem o francuzce... i nie wiem dla czego porwałem się od razu na nogi.

Rzeczywiście zrobiłem to w sam czas.

Jakkolwiek francuzka siedząca przy otwartem oknie pierwszego stuku nie słyszała a słyszała jednak płacz Mirandy i każdéj chwili mogła wpaść do sali.

I w sam czas zerwałem się z ziemi, bo równocześnie weszła francuzka i dowiedziawszy co zaszło, poczęła nas niemiłosiernie strofować.

Przyznam się, gdyby nawet mnie wybiła wtedy niebym może o tem niewiedział a tem mniéj wiedziałem o tem, że jéj krzyk sopranowy miał być jakiemś kazaniem dla mnie!

Miranda stała ze spuszczonemi oczyma. Jéj twarz była od płaczu lekko zarumieniona, pierś oddychała głęboko, jak po przebytem wielkiem wzruszeniu.

Była teraz cudownie piękna!..

I czemże dla mnie było późniejsze wystrofowanie przez pułkownika, który nawet za powrotem do domu wsadził mnie na kilka godzin do aresztu sposobem wojskowym?

XV.

....Po tym wypadku (miałem wtedy lat dwanaście) nastąpiła między nami jakaś nieznaczna zmiana.

Mogłem dopiero przyjść za tydzień. Pułkownik zaraz na wstępie zaraportował panu Manswetowi, żem został ukarany i pięć godzin spędziłem w areszcie.

Miranda była smutna i zamyślona. Gdy te słowa usłyszała spojrzała na mnie i widziałem że jéj piękne oczy napełniły się łzami...

Wykręciła się szybko i pobiegła do drugiego pokoju.

Zabawy nasze od tego czasu już nie były tak wesołe jak dawniéj. Bawiliśmy się wprawdzie, a nawet śmieliśmy się, ale ten śmiech nie był już tak pusty!

Wszystko inne zostało w dawnym stanie. Graliśmy razem, śpiewaliśmy, rysowaliśmy, ale wszystko to odbywało się z jakimś poważniejszym nastrojem.

Wreszcie nadszedł czas, w którym pułkownik sumiennie wyznał memu ojcu, że już wszystkiego mnie nauczył co tylko umiał, zacząwszy od łapania ptaków w samotrzaski a skończywszy na Napoleonie, śpiewie o Zosi i czytaniu łacińskiem.

Daléj nie chciał już brać odpowiedzialności na siebie i zalecił ojcu, aby mnie wyprawił do Warszawy.

Ojciec we wszystkiem ufał swemu przyjacielowi, uwierzył także że już całą swoją naukę wyczerpał.

Uradzano więc oddać mnie do prywatnéj szkoły w stolicy i tam powierzyć moją karjerę naukową staremu przyjacielowi pułkownika, który wraz z nim był przy szturmie Saragossy!

Pożegnanie moje z Mirandą było smutne, rozrzewniające. Przygotowała dla mnie kilka najpiękniejszych astrów (była to jesień), które przez cały dzień na swojéj piersi nosiła. Potem wyjęła ze swojéj biblioteczki kilka książek, które miały mi służyć w stolicy za talizman w różnych kolejach losu.

Całą niedzielę bawiłem u nich z pułkownikiem.

Z Mirandą zwiedzałem wszystkie miejsca, w których bawiliśmy się. Żegnałem te miejsca, a ona miała nieustannie oczy załzawione, jakby była moją rodzoną siostrą....

Przeszliśmy kilka razy po alei cienistéj.

W téj alei biegaliśmy nieraz do mety o zakład, w niéj to obaczyłem wtedy przez żywopłot Mirandę gdy z podniesioną do czoła rączką patrzała na drożynę czy mnie nie ujrzy!..

Wtedy ona oddaliła się ode mnie! Dzisiaj ja oddalałem się od niéj!...

Czyż i ona przechodziła teraz te same boleści, jakie ja wówczas przechodziłem? Czyż i ona czuła w téj chwili to co późniéj w życiu nieraz się czuje, to jest boleść za odbiegającym nas ideałem?...

Czy byłem wtedy już dla niéj ideałem tak samo jak ona dla mnie nim była?..

Zdaje mi się, o ile to sam odczuwałem, że tak było w istocie!....

Miranda tłumiła w sobie boleść, a jednak w oczach jéj widziałem jasno, co się w jéj serduszku działo!

Z alei wyszliśmy na murawę. Ach ileż to zabaw przypominała nam ta murawa, po któréj nieraz wraz z nami po sześciu robrach wista biegał stary pułkownik udając francuzkiego grenedjera goniącego za Prusakami pod Jeną! Krzyczał poczciwy pułkownik *pardon! dites pardon! Chiens!* i niby strzelał do nas dla rozgrzania swoich starych kości, a myśmy kładli się ze śmiechu na trawie jak się kładli Prusacy trupami na polach pod Jeną!...

Poszliśmy do trebhauzu. Tam po raz ostatni oglądaliśmy kwitnącą theę i poiliśmy się jéj wonią herbacianą!.. Miranda chciała nawet uszczknąć jedną różyczkę, ale wstrzymałem jéj rękę, bo wiedziałem że te astry przy jéj piersi mnie się dostaną!

Nawet pani Alberta i gderliwa francuzka dzieliły nasz smutek i starały się obdarzyć mnie jaką pamiątką na drogę.

Pani Alberta dała mi trzy duże słoje najsmaczniejszych konfitur, a francuzka podarowała mi scyzoryk prawdziwéj paryzkiéj roboty.

Przed wieczerzą i po wieczerzy śpiewaliśmy i grali z Mirandą. Kilka razy musiałem powtarzać różne piosnki, których mnie pułkownik wyuczył. A razem z Mirandą śpiewałem ulubioną pani Alberty piosnkę która się kończyła:

Żegnam was kozy, owieczki zwinne,
Żegnam was lube kąty rodzinne,
Choć mnie skrępują losy niezłomne,
Ja jednak nigdy was nie zapomnę!.

I tak żegnałem wszystko i wszystkich, żegnałem ogród, aleę i trawnik, drzewa, owieczki i kozy, ale nie pożegnałem owéj sali na górze, gdzie wisiał portret pani szambelanowéj....

Miranda tam ze mną nie poszła!..

Za tydzień byłem już w Warszawie.

Nie powiem tego, aby stołeczne miasto przy moim bólu rozstania nie sprawiło na mnie żadnego wrażenia.

Wprawdzie dusza zajęta jednem wielkiem uczuciem, może pozostać nie tylko dla uciech wielkiego miasta obojętną, ale może nawet ani tych uciech ani samego miasta nie widzieć.

Nie mogę tego pewnika zastosować do siebie.

Uczucie moje nie było uczuciem rozwiniętem, świadomem siebie samego. Przeczuwałem je dopiero, tak jak przeczuwają ptaki zbliżającą się burzę, chociaż ani nieba ani nadciągającéj chmury nie widzą!

Czułem wyraźnie, że moje serce na wspomnienie pozostałéj w Jedlnie Mirandy drży jakoś boleśnie, ale to drżenie nie miało jeszcze jasno zakreślonego celu przed sobą.

Nie przeszkadzało mi więc w nowych wrażeniach, jakie na mnie co krok, i co chwila wywierała stolica. Wrażenia te mnożyły się z każdym tygodniem i już samą mnogością swoją spychały w głąb duszy wspomnienia Jedlnéj i Mirandy.

Szkoła prywatna w któréj teraz pobierałem edukacją, składała się z dwudziestu kilku uczniów, mniéj więcéj równych mi wiekiem.

Zrazu myślałem, że każdy z nich ma podobne jak ja wspomnienia o Mirandzie. Cieszyłem się nawet że będziemy mogli wzajem opowiadać sobie te wspomnienia.

Po kilku jednak próbkach przekonałem się, że takich wspomnień żaden z nich nie miał. Opowiadania ich w podobnéj materji były mi wstrętne, bo raziły szlachetniejszą stronę mojéj duszy. Większa część tych opowiadań była dla mnie niezrozumiałą. Dla tego zaraz z początku cofnąłem się od nich z memi zwierzeniami, a wspomnienia o Mirandzie zamknąłem w najtajemniejszéj głębi duszy, aby mi ich nie wzięto i śliną bezwstydnego śmiechu nie powalano!

Nowa dla mnie sytuacja, nowe potrzeby życia w mieście stołecznem wciągały mnie z wolna w coraz szerszy horyzont, który znowu dostarczał mi nowych widoków, nowych wrażeń.

Pod temi wrażeniami jednak, na samem dnie duszy leżał starannie zachowany obrazek Mirandy, który tylko w chwilach samotnych wychodził z tamtąd, stawał mi przed oczyma i stosownie do mego usposobienia, albo się do mnie uśmiechał, albo mi groził!...

Byłem nad miarę szczęśliwy gdy się uśmiechał, ale gdy mi groził to płakałem nie raz, chociaż koledzy moi tego pojąć nie mogli!

Codziennie wychodziliśmy po obiedzie na przechadzkę.

Ta przechadzka była dla mnie czemś więcéj niżeli prostą przechadzką.

Na téj przechadzce bowiem porównywałem Mirandę z temi wszystkiemi młodemi panienkami, które w drodze spotkałem i zawsze przychodziłem do tego rezultatu, że Miranda jest najpiękniejszą między najpiękniejszemi!

Widziałem wprawdzie piękniejsze nosy, włosy i figurki, zgrabniejsze nóżki i rączki—ale żadne z nich nie sprawiały na mnie takiego wrażenia, jakie samo wspomnienie o Mirandzie mi sprawiało!

Po kilku miesiącach przekonałem się, że drugiej, Mirandy w całéj stolicy dla mnie nie ma, że jest ona tylko jedyną na całym świecie.

Po tem ustaleniu się mego wspomnienia o Mirandzie oddałem się z całym zapałem duszy naukom.

Nauka, praca wypełniały teraz wszystkie chwile mego życia. Nowe horyzonty otwierały się przedemną, o jakich pierwéj nie miałem wyobrażenia.

Przechodziłem te horyzonty po kolei, a ile razy zdawało mi się, że ten lub ów horyzont już się kończy, przyszedłszy na ten mniemany koniec ujrzałem, że on właściwie dopiero się zaczyna!,.

I byłem podobny do podróżnego, który wybierając się w daleką podróż, wziął z sobą smaczną potrawę aby w drodze nią się delektować!.. Tymczasem podróż miała tyle dla niego nowych widoków, tyle pięknych i ciekawych rzeczy otwierało się za każdym krokiem, że podróżny o smacznéj potrawie swojéj, którą niósł z sobą w węzełku, zupełnie zapomniał!

Otóż taki los groził teraz moim wspomnieniom! I rzeczywiście Miranda była w niebezpieczeństwie.

Powolne zapomnienie jest zwykłym losem podobnych wrażeń, które z zakątka życia wynosimy na obszerną arenę świata.

W zakątku naszym świeciły one nam blaskiem niezrównanym, ale przy blasku szerokiego horyzontu blaknie ich światło i często zupełnie zagasa!

Wspomnienie o Mirandzie miało mi być najświetniejszą gwiazdą w nowéj drodze żywota—ale obok téj gwiazdy mojéj było na horyzoncie tyle nowych, niewidzianych blasków!

Czyż nie mogła ta gwiazdka zblednąć a może i zagasnąć tam, gdzie były pioruny, meteory i ognie bengalskie?...

Jednak gwiazda moja nie zagasła!

Nowe widoki życia nęciły mnie wprawdzie i pochłaniały nieraz wszystkie siły duszy mojéj —nieraz zdawało mi się, że moja gwiazdka zagasła, że jéj już nie widzę, a nawet czasem rzeczywiście na jakiś czas jéj nie widziałem.... mimo to jednak po każdem uspokojeniu się horyzontu, przy każdéj ciszy mego umysłu, przy spokojnem uderzeniu serca zapalała się ta gwiazda na nowo i świeciła mi tak jasno, jak żadne inne blaski nie świeciły!...

Pułkownik który zazwyczaj prowadził korrespondencję ojca pisywał do mnie dosyć często.

Należał on do rzędu tych dawnych ludzi, którzy do pisania listu zabierali się zawsze z pewną uroczystością. Żadne względy nie miały tam miejsca, ani brak czasu, ani brak papieru. Jeżeli jedna ćwiartka nie wystarczyła, brało się dwie, trzy albo cztery. List taki musiał wyczerpać cały przedmiot, musiał mieścić w sobie to wszystko, co tylko do opowiedzenia było stosownem.

(d. c. n.)

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA.

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Nakazujące poruszenie uzupełniło ten rozkaz, bo rozkaz to był wyraźny. Fryderyk poszedł go spełnić Dopiero za drzwiami przyszło mu na myśl, że to przecież jemu, jednemu z bohaterów sławnéj armij pruskiej, nie przystało wcale odbierać rozkazów od jakiejś tam Amerykanki, rozkazów dawanych bez żadnéj ceremonji. Ale stało się z nim tak samo jak i z Atkinsem: nie umiał się oprzeć temu pańskiemu tonowi i szemrząc i pomrukując niechętnie, poszedł do kwatery swego pana, by spełnić otrzymane zlecenie.

Jenny pozostała sama w obszernym ponurym salonie, z pod którego sufitu jedna tylko lampa niedostatecznie go oświetlała. Na dworze było już zupełnie ciemno, księżyc nie wszedł jeszcze, po drzewach szumiał wiatr wieczorny, a przez otwarte okno wiało dosyć przenikliwe zimno. Dziewica zadrżała mimowolnie i zbliżywszy się do komina, usiadła w stojącym przed nim wielkim fotelu,którego tylna, bogato rzeźbiona poręcz, jakiś starożytny francuzki herb wyobrażała.

Czekała ona teraz ostatecznego rozstrzygnienia! Musiało nareszcie przyjść do stanowczego porozumienia i za chwilę miała się już tak długo ukrywana tajemnica wyjaśnić. Z jakiem uczuciem Jenny tego wyjaśnienia wyglądała—to ona jedna tylko wiedziała. Drgające płomienie ognia oświetlały rysy, w których teraz jeden tylko odbijał się wyraz, to jest wyraz, silnego, nieugiętego niczem postanowienia. Tak być musi! Temi słowy nauczył Forest swą córkę wytrwać w każdéj walce, znieść każdą męczarnię, jakich, naturalnie, za życia jego nie wiele przebywać potrzebowała. Teraz dopiero nadszedł czas ciężkiej próby i drżąca, ale w milczeniu i bez skargi poddała się nieubłaganemu prawu konieczności. Na jakąś chwilę mogło ją to niespodziewane spotkanie odurzyć, ale nigdy na długo, bo nie było to w charakterze Jenny, ażeby się w chwili stanowczéj cofnąć miała. Pragnęła więc pewności,chociażby ta pewność złamać ją miała. Silną, energiczną wolą napiętnowane rysy, szczelnie zaciśnięte usta i śmiałe lecz zimne spojrzenie, nadawały jéj w téj chwili rzeczywiście przerażające podobieństwo do zmarłego ojca. Nie było tam ani odrobiny kobiecéj tkliwości poddania się, wszystko w jéj bladych rysach, było twarde, suche, żelazne,—świadczące wyraźnie, że cokolwiek nastąpi, ona wszystko zniesie.

Nareszcie drzwi się otworzyły i wezwany wszedł do salonu. Zamknął drzwi za sobą, ale nie posunął się dalej i stanął przy samym prawie progu.

— Miss Forest poleciła mi stawić się tutaj?

— Chciałam pomówić z panem. Czy nam tu nikt nie przeszkodzi?

— Nie przewiduję tego. Sądzę, że jaki kwadrans czasu będziemy sami.

— W takim razie, proszę bardzo, chciej się pan przybliżyć.

Fernow postąpił dalej i stanął przy samym kominie naprzeciw Jenny. Pomiędzy niemi iskrzył się i pryskał ogień, którego jasne płomienie wybitnie rysowały postacie obojga, że w półcieniu tego cichego i samotnego ustronia, mogły być najdokładniéj widziane przez każdego, ktoby się jednocześnie na tarasie przechadzał.

— Nie spodziewałem się wcale tego wezwania. Wnosząc z naszego spotkania we wsi, zdawało mi się, że pani postanowiłaś stanowczo unikać takiego jak ja człowieka. Jednakże, posłuszny jestem rozkazowi pani i..czekam, co mi objawić raczysz.

Było, jak widzimy nieco goryczy w tych słowach, ale gorycz Fernowa nie raziła i nie obrażała nigdy, chociaż dla Miss Forest odezwała się ona głosem cichego, bolesnego wyrzutu.

— Moje zachowanie się było pewnie dla pana bardzo zagadkowem. Otóż wypada mi usprawiedliwić się z tego. Przedewszystkiem jednak, racz mi pan odpowiedzieć na niektóre moje pytania,

Fernow skłonił się lekko na znak, że pragnie być posłusznym.

— Naprzód tedy, powiedz mi pan swoje imię chrzestne.

Z całego śledztwa, dawny profesor najmniej takiego spodziewać się mógł zapytania. Moje imię chrzestne? powtórzył z zadziwieniem.

— Tak.

— Moje imię jest Walter.

— Walter? Głębokie swobodniejsze odetchnienie wydobyło się z piersi panny Forest. Walter! nie znam takiego imienia.

— Dla czegoż byś je pani znać miała? zapytał z widocznem zdziwieniem. Wszakże byliśmy dla siebie ludźmi zupełnie obcymi aż do chwili, w której pani na ziemię niemiecką przybyłaś.

— Być może. A wzrok jéj śledził niby obojętnie za podrywającym się i znowu przygasającym płomieniem ognia w kominie. Być może, a może i nie! Mówiłeś mi pan kiedyś, że sam jeden bez rodziców wyparty zostałeś na drogę żywota, że potem dostałeś się w ręce jakiegoś uczonego, który i ciebie wprzągł do jarzma swéj nauki.... Czy ten uczony był duchownym?

— Tak pani, ale późniéj opuścił swą plebanję i powołanie, ażeby się wyłącznie mnie poświęcić.

Jenny konwulsyjnie przycisnęła rękę do piersi. A jego nazwisko?

— Ksiądz Hartwig.

Nastąpiła ciężka, bolesna chwila milczenia. Ogień w kominie ciskał teraz trzeszcząc jasnemi iskrami czerwone płomienie, na śmiertelną bladością powleczone oblicze Miss Forest, która nie mogąc już na najmniejsze zdobyć się słówko, siedziała nieruchoma i ze zwieszoną głową.

— Miss Foresta chciej mi pan powiedzieć co to wszystko znaczy? Głos Waltera drżał strasznym niepokojem. Po co te dziwne pytania? Czy pani znałaś mego opiekuna, czy byłaś z nim w jakichkolwiek stosunkach?

Domawiając tych słów, przybliżył się do niéj i stanął tuż przy jéj boku; zdawało się że Jenny nie słyszała tego pytanie gdyż nic nie odpowiadała.

— Joanno.

Ona zadrżała lekko. To imię, dopiero raz jeden w chwili rozstania szłyszała z ust jego wyrzeczone, a brzmiało ono w jéj uszach jak najtkliwsza melodja z dalekich, słodkich lat wieku dziecinnego. Niegdyś matka tak samo ją nazywała, ale to trwało bardzo krótko, później bowiem i to niemieckie, ojczyste imię padło ofiarą surowéj woli ojca i zamieniono je na angielskie Jenny. Odtąd, nigdy już nie odbiło się o jéj uszy, nigdy....aż teraz dopiero i w tych ustach tak miękkim, błagającym głosem....cała jéj siła złamała się pod tym jednym, słodkim dla jéj serca dźwiękiem.

Zwolna podniosła wzrok na Waltera; wzrok ten spotkał się z jego oczyma i utonął w nich jedną chwilę. Te niebieskie oczy, które z pewną zasmuconą tkliwością na jéj licach zawisły, wywierały nawet i teraz jeszcze władzę, władzę, która dumną, nieugiętéj woli kobietę, w chwili stanowczéj, kiedy już tylko o działanie i stanowcze rozstrzygnienie chodziło, odrywała od palącej jéj wnętrzności boleści, od tych wszystkich walk i męczarni chwil ostatnich, a przenosiła ją potężną siłą duszy w krainę tych sennych marzeń, jakiemi on był obecnie zajęty. Otóż, siedziała ona znowu pod owym krzakiem bzowym, z którego pączków pierwsza zieleń się wydobywała, a on stał tuż przy jéj boku. W około niéj kłębiły się tumany mgły, osnuwając swoją szarą tkanką drzewa i krzewiny, szeleścił pierwszy deszcz wiosenny spadający na wonną ziemię, w powietrzu odzywał się jakiś dziwny szmer i szepty, a zdaleka dochodził do nich szum i pluskanie spokojnie płynących fal Renu: dalej....dalej jeszcze nikła teraźniejszość i rzeczywistość, wszystko tonęło w zupełnem odrętwieniu, prócz jednego, głuchego, niewypowiedzianego bólu jaki wtedy po raz pierwszy uczuła....Jenny straciła swą wolę pod potęgą tego wzroku.

Oboje zadrżeli przestraszeni jednocześnie czemś niespodziewanem. Marzony obraz znikł nagle z całą swoją mglista osłoną, z całym swoim wiosennym urokiem i byli znowu w obszernym ponurym salonie. Ogień prysknął i trzeszczał na kominie, na dworze wiatr jesienny szumiał pomiędzy drzewami; może to ten wiatr cisnął jaką suchą gałązkę w okno i ocknął ich z tego marzenia lubych wspomnień. Jenny spojrzała ku oknu, a wzrok Waltera zwrócił się w tymże samym kierunku.

— Podglądają nas, rzekła głosem stłumionym.

— Nie przypuszczam. Jednakże pójdę się przekonać.

Pospieszył do okna, otworzył je na rozcież i wychylił się na zewnątrz. Jenny podniosła się i oparła trwożliwie na herbowej poręczy fotelu. Teraz zbliżało się najtrudniejsze zadanie. Fernow miał się dowiedzieć o tem, co dla niej nie było już rzeczą wątpliwą.

— Zobaczę, czy on to znieść potrafi. Może to tylko głos natury przemawiał w téj jego czułości, może, i serce dziewicy ścisnęło się boleśnie, jeżeli przy tem odkryciu uśmiechnie się, wtedy przeniesie wszystko. Ja słabości mojéj nie zdradzę, choćby mi umrzeć przyszło pod pierwszym pocałunkiem brata.

Walter zamknął okno i powrócił znowu na dawne miejsce.

— To nic, rzekł spokojnie. Komużby zresztą na tem zależało, ażeby nas podglądać?

Jenny wiedziała już teraz, jak postąpić miała i śmiało na obraną wstąpiła drogę.

— Komu? Panu Alison.

Walter cofnął się przerażony. Panu Alison towarzyszowi pani?

— Tak.

Płomienisty rumieniec wystąpił nagle na jego lica i oblał jego czoło i skronie.

— Więc ten człowiek nie jest obcym dla pani? Przeczuwałem to od pierwszej chwili kiedym go zobaczył. Joanno, i głos jego drżał w gorączkowem wzruszeniu, a jaki stosunek wiąże tego człowieka z panią? Jakie on prawo ma do pani?

— Jestem jego narzeczoną!

Rumieniec znikł z jego twarzy równie szybko jak się na niéj pojawił, a miejsce jego zajęła śmiertelna bladość.

— Jego narzeczoną! powtórzył głosem gasnącym. Więc pani go kochasz?

— Nie!

— A jednak dałaś mu pani swoje słowo, swoją przyszłość?

W zarzucie tym przebijało się gorzkie oskarżenie.

Jenny spuściła oczy nieśmiało. Uczyniłam to, szepnęła cicho.

— Mój Boże! I po cóż my się spotykamy! wymówił Walter smutno.

Jenny milczała chwilkę. Po co? zapytała nareszcie głosem zaledwie słyszanym.

Walter zbliżył się do niéj zupełnie, a głos jego zeszedł również do cichego lecz namiętnego szeptu.

— Ty mnie pytasz jeszcze? Mamże ci słowami wypowiedzieć to, coś dawno odgadła, coś odgadnąć musiała? Albo....czy ja sam jeden tylko będę, którego twoje wyznanie nie czyni szczęśliwym?

Jenny zwróciła powoli swoje lica ku niemu; głos jéj był nadzwyczajnie spokojny, lecz oczy utonęły badawczo i trwożnie w jego rysach, jak gdyby każda najskrytsza cząstka jego myśli miała jéj zaświadczyć o szczerości jego uczuć.

— Nie potrzebujemy, i nie powinniśmy być nieszczęśliwymi. Los nas zjednoczył może okrutnie, ale jeżeli nam najwyższego szczęścia odmawia, wyrok jego nie jest jeszcze rozłączeniem! Może—i wzrok jéj tonął coraz głębiéj, przenikliwiej w jego wzroku, może zdołam nakłonić mego przyszłego męża do dłuższego pobytu nad Renem. Wiem teraz, że tylko jednego słowa z ust moich potrzeba, a on zbliży się do pana jako przyjaciel. Nie powinieneś pan téj ręki odpychać.. Walterze, pan potrafisz panować nad twojem uczuciem, nauczysz się tego, a wtedy zbliżysz się do mnie, jak przyjaciel jak.... brat....

— Joanno! przerwał Walter groźnym namiętnym głosem. Ona milczała: lecz oczy jéj śledziły niewzruszenie rysy jego oblicza; oczy te miały teraz tenże sam wyraz co przy odebraniu pierwszéj wiadomości w N. Nadeszła chwila, mająca rozstrzygnąć o jéj życiu lub śmierci.

— I ty mi to mówisz? rzekł z bólem i niewypowiedzianą goryczą. Ja to z ust twoich słyszeć muszę. Czy ty chcesz szydzić z biednego marzyciela albo też sama marzysz o jakimś idealnym związku przyjaźni, gdzieby miłość niecnym buntem być miała? Nie łudź się! Dla duchów może to być rzeczą prawdopodobną, dla serc ludzkich nigdy, tam jest tylko jedna droga obojętności lub zbrodni. I ja łudziłem się niegdyś w samotnéj méj pracowni, odgrodzony od reszty świata takiemi chorobliwemi marzeniami. Ale tam zrodziła się moja miłość dla ciebie i wepchnęła mnie w życie, w pełną, palącą rzeczywistość, domagając się teraz praw swoich. Ja muszę cię posiadać albo utracić na wieki! Pomiędzy jednem lub drugiem nic innego być nie może!

Był to czysty, gorący głos namiętności; płynął on burzliwemi słowy z całéj istoty Waltera, a przed nim runęła ostatnia podpora, któréj się Jenny czepiała, lecz ona sama stała jeszcze silnie i śmiało. Śród pewności wielkiego nieszczęścia przemogło w niéj uczucie, które potężniejszem było nad samą rozpacz. Słowa jego były tylko echem jéj własnéj duszy; była tak kochaną, jak sama kochała.

Odetchnęła więc całą piersią. Masz słuszność Walterze! To szaleństwo, ja sama to widzę! Pomiędzy nami obojgiem jedna tylko jest rzecz nieuchronna.... rozłączenie!

Fernow zadrżał na te słowa. I ty mogłaś to z taką spokojnością wymówić? Ty mniemasz że i ja poddać się muszę, bez użycia pierwéj wszelkich możliwych środków celem zapobieżenia temu nieszczęściu? Joanno, wszakże cię jeszcze nie wiąże żadna uroczysta przysięga, przyrzeczenie może być odwołanem, dane słowo cofniętem. Czyliż twoje śluby są nieodwołalne?

— Tak, nieodwołalne.

— Zastanów się, głos jego błagający, drżał przy tych słowach, idzie tu o całe szczęście mojego życia i o twoje własne szczęście. Ocalisz nas oboje jednem postanowieniem. Nie możesz więc zerwać węzłów, łączących cię z Alisonem?

W téj chwili otworzono drzwi z łoskotem i grzmiący głos Fryderyka rozległ się w salonie.

— Panie poruczniku! pan major wzywa pana natychmiast do siebie.

—Walter obrócił się. O co idzie? Zapytał niecierpliwie. Gdzie mam iść?

— Do pana majora, wszyscy oficerowie są już u niego.

— Dobrze, przyjdę.

Drzwi zamknęły się znowu; za niemi słychać było ciężkie kroki oddalającego się Fryderyka. Walter zwrócił się jeszcze raz do Jenny, lica jego były śmiertelną pokryte bladością, a tylko oczy płonęły dziką niespokojnością.

—Słyszałaś, przymuszony jestem oddalić się. Żyjemy śród wojny, za godzinę, może za chwilę przyjdzie się rozłączyć. Joanno, pytam się po raz ostatni: czy nie możesz, czy nie chcesz być moją?

— Nigdy, Walterze! Choćby mnie Alison uwolnił, i wszelkie inne przeszkody usunięte zostały... nigdy.

— Więc bądź zdrowa! zawołał z rozpaczą i wyciągnął ręce, jak gdyby ją chciał do piersi swoich przycisnąć, lecz Jenny, cofnęła się przerażona i zasłoniła ręką niby dla obrony. Fernow stał przed nią chwilę oniemiały, potem ukłonił się głęboko lecz zimno, mówiąc:

— Miss Forest, masz pani słuszność! Bądź pani zdrowa.

I wyszedł. Jenny została sama ze strasznym ciężarem w piersiach, gdyż ostatnia zasłona tajemnicy nie była jeszcze zerwaną, ostatnie słowo nie było powiedzianem. W prawdzie cisnęło się ono gwałtem na jéj usta,ale jakaś obca potęga uwięziła je w piersi z obawy, aby nie powiększyć jego cierpienia jednem wyrzeczeniem.

Nie. Ona co nikogo nie oszczędzała, bo i dla siebie saméj zawsze była bez litości, drżała teraz przed obcą boleścią. Po raz pierwszy dopiero te surowe słowa jéj ojca tak być musi! straciły swą siłę. Po raz pierwszy nie mogła powstać przeciwko nizbędnéj konieczności. Zawsze ona wszelkim walkom i udręczeniom śmiałe stawiała czoło, ale teraz gdy miała i jego na takąż wystawić walkę,ocknęła się w niéj kobieta z całą trwogą z całem zwątpieniem, i drżała małodusznie o niego na samą myśl wyrzeczenia stanowczego słowa.

— Jutro! Do jutra on się oswoi z myślą swéj straty i łatwiéj zniesie to nieszczęsne: Dla czego? teraz zabiłoby go to może. Ale... tu i ją samą reszta sił opuściła a głos stłumiło bolesne łkanie: jabym także umarła, gdyby on to zniósł spokojniéj.

W pokoju majora wyglądało bardzo uroczyście: zdawało się jak gdyby na formalną radę wojenną zanosić się miało. Sam major przechadzał się zachmurzony i z rękoma w tył założonemi; adjutant i jeden z młodszych poruczników stali zamyśleni za stołem; inni oficerowie, pomiędzy którymi i doktór Behrend się znajdował, szeptali pomiędzy sobą przy oknie, kiedy Walter, ostatni z wszystkich wszedł do kwatery swego zwierzchnika.

— Wezwałem was, moi panowie, rzekł major z widocznem wzruszeniem, ażeby wam niepomyślną udzielić wiadomość. Wiecie, że się spodziewamy posiłków: kapitan Schwartz wychodzi jutro rano ze swoim bataljonem z L. by się tu z nami połączyć; droga pomiędzy górami zdawała się być bezpieczną, sam doniosłem o tem do L., a teraz pokazuje się, że to był błąd straszny!

Niespokojne zaciekawienie odbiło się na twarzach oficerów; wszystkie oczy zwróciły się na majora, który, zawsze jeszcze wzruszony, mówił daléj:

— Dopiero co powrócił porucznik Witte ze swoim patrolem. W drodze przytrzymał jednego wieśniaka, który na czynione mu pytania nie chciał odpowiadać, a późniéj w kłótni i odurzeniu wódką, tak dziwne plótł rzeczy, tak znaczące robił napomknienia, że ujrzano się w potrzebie zabezpieczenia jego osoby. Wytrzeźwiawszy, pod ciężką groźbą złożył zeznanie, które niestety po odbytym rekonesansie co do słowa stwierdzone zostało. Wolni strzelcy w sile trzy razy większéj od naszéj znajdują się w górach, zaledwie o dwie godziny drogi od tego zamku, to jest pomiędzy nami i L., obsadzili oni już drogę górską i zamierzają uderzyć na naszych braci, o których marszu zostali zawiadomieni.

Niespokojność i trwoga objawiła się na twarzach oficerów, znali bowiem dostatecznie miejscowość, ażeby zrozumieć niebezpieczeństwo, jakie ich towarzyszom groziło.

— Ja się zaraz domyślałem, rzekł kapitan po chwili, że to zupełne zniknienie band strzeleckich miało za przyczynę jakiś podstęp wojenny. Było to zbyt uderzającem, że w ostatnich dniach wszystkie wąwozy zostały nagle opuszczone i nasze patrole najspokojniéj przebywać je mogły, kiedy dawniéj z każdéj rozpadliny skał do nich strzelano. Usunęli się tedy na bok by uśpić naszą czujność, a teraz zebrali się znowu, ażeby silniéj i stanowczo na nas uderzyć.

— Pytanie więc, mówił daléj major, jakim sposobem ostrzedz naszych towarzyszów w L.? Komunikacja jest przerwana a wąwóz jest zupełnie zaparty jak porucznik Witte oświadcza.

— Zupełnie, panie majorze, wtrącił młody oficer, do którego się zwierzchnik przy tych ostatnich słowach zwrócił. Francuzi obsadzili nie tylko drogę bitą, ale nawet i ścieżki wijące się około skał z téj strony rzeki. Musieli oni to bardzo niedawno wykonać, gdyż dzisaj rano droga była jeszcze wolną, ale jest to najważsze miejsce w dolinie, nieprzyjaciel panuje nad niem zupełnie, i każdy patrol, każdy pojedynczy człowiek, któryby się tam zapuścił, zostałby niezawodnie zastrzelonym.

— Jeżeli więc naszych w tym wąwozie podejdą to ani jeden z nich nie ocaleje! zawołał major wzruszony. Zamkną im drogę z tyłu i z przodu, a sami dostatecznie zasłonieni, strzelać do nich będą z góry. Ha! to oszaleć można!

— Czyby nie można jakiego posłańca przez E. wyprawić? Odezwał się adjutant, tam droga w każdym razie jeszcze jest wolną.

— Toby trzeba połowę gór obejść! Byłoby to za długo. Batalion wyruszy o świcie. Jeżeli więc ostrzeżenie nie dojdzie go przed trzecią rano,to będzie zapóźno!

— Panie majorze! Głos młodego porucznika Witte brzmiał nieco lękliwie, gdy i on odważył się wystąpić ze swoją radą, chociaż z oczów jego tryskała męzka odwaga. Byłby może jeden środek najprostszy ze wszystkich. Wyjdźmy z całemi naszemi siłami przeciwko nieprzyjacielowi, zniesmy go i otwórzmy sami drogę naszym towarzyszom.

Mimo całéj ważności tak krytycznego położenia, major uśmiechnął się lecz zaraz wstrząsnął głową, mówiąc:

— Wniosek ten przynosi ci zaszczyt, panie poruczniku, ale myśl taka może tylko w dwudziestoletniéj powstać głowie, nie jest ona do wykonania. Wszakże pan słyszysz, że nieprzyjaciel ma

trzy razy większe siły, a miejscowość pomnaża je przynajmniéj dziesięćkrotnie. Podzielilibyśmy tylko los jaki jutro naszym braciom zagraża, a nie uratowalibyśmy ich wcale.

Jednakże wniosek młodego współtowarzysza znalazł ogólne prawie uznanie pomiędzy oficerami i wszyscy oblegli majora prośbami, ażeby go w wykonanie wprowadził: ten atoli pozostał niewzruszonym.

— Ażeby nas z tyłu wzięli, nie prawdaż? Czy my to téj hałastry nie mamy naokoło siebie we wszystkich lasach, czy to oni pomiędzy mieszkańcami mało mają szpiegów? Nasze wystąpienie, o którem się zaraz dowiedzą, byłoby dla nich hasłem do ścigania za nami, a my dostawszy się we dwa ognie nie moglibyśmy ani najprzód postąpić, ani się cofnąć. Niepodobna! Stanowiska naszego nie opuścimy, ale w nocy musimy się mieć na większéj niż kiedykolwiek baczności. Kto to wie jak daleko sięgają plany i stosunki tych band pomiędzy sobą; może oni mają na celu drugi napad i na nas, czyż to jest rzeczą niepodobną?

Gruntowność tego rozumowania była zbyt uderzającą, ażeby ktokolwiek chciał przeciwko niemu cobądź nadmienić. Wszyscy więc milczeli.

— Przecie nie możemy spokojnie i bezczynnie patrzeć, jak nasi bracia nie domyślając się niczego, pójdą widocznie na swą zgubę! odezwał się doktór Behrend.

— Nic! rzekł major stanowczo. Zawiadomić ich musimy, chociażby góry były jeszcze dziesięć razy trudniejsze do przebycia. Środek na to znaleść się musi!

W téj chwili wystąpił Walter, jedyny który dotąd w naradzie żadnego nie przyjmował udziału, i odezwał się w te słowa:

— Panie majorze, ja wiem jedną drogę.

— Major obejrzał się szybko. Pan wiesz? A jaką?

— Robiliśmy dosyć częste wycieczki w góry, znam je więc dostatecznie. Przypominasz pan sobie pewnie, że przed ośmiu dniami odbywałem z pięciu ludźmi rekonesans do L., które jeszcze wtedy przez nieprzyjaciela było zajęte. Posunęliśmy się za daleko, ścigało nas około dwudziestu ludzi, uderzyli na nas i nareszcie rozproszyli.

— Tak! Więc cóż?

— Po kilku strzałach rzuciłem się z kapralem Braunem, który już był w rękę raniony w jeden wąwóz poboczny, gdzie im ślad nasz zaginął. Reszta naszych uszła przeciwną stroną, posuwając się coraz daléj znaleźliśmy wązką ścieżkę na pół ukrytą w gęstwinie lasu, którąśmy się udali jako idącą w kierunku do S. Podnosi się ona stopniowo w góry potem zakryta po większéj części lasem, idzie wzdłuż samych grzbietów gór, aż nareszcie nagle i spadzisto spuszcza się właśnie przy wejściu do tego ciasnego zupełnie bezdrożnego wąwozu, który leży ztąd o kwadrans drogi, po prawej stronie doliny. Postępowaliśmy jeszcze kilka minut śród gęstych krzaków, aż nareszcie stanęliśmy nagle na wystarczającym skalistym szczycie, gdzie się ta wielka pojedyncza sosna znajduje. Ztąd dostaliśmy się już bardzo prędko do S.

Walter opowiedział to wszystko jasno i spokojnie, w głosie jego nie było już żadnego śladu owego wzruszenia człowieka, który zaledwie dziesięć minut temu miał rozmowę, pozbawiającą go całego szczęścia jego życia, tylko głos ten brzmiał nieco stłumiony, a oblicze odbijało smutny jakiś spokój, spokój silnego postanowienia. Nie miał on teraz czasu ubolewać nad straconą nadzieją miłości; na boleść swoją znalazł lekarstwo najskuteczniejsze, najnieomylniejsze ze wszystkich.

Major, równie jak wszyscy inni słuchali z wytężoną uwagą słów Waltera, jednakże czoło jego nie wypogodziło się bynajmniéj.

— Pan tedy sądzisz, że wolni strzelcy, świadomi wszystkich tutejszych zakątków, nie znają téj drogi równie dobrze jak każdą inną?

— Znają....zapewne! Ale zachodzi jeszcze pytanie czy jéj pilnować będą, gdyż naprzód nie mogą przypuszczać, ażeby ona nam była znaną, a powtóre nie spodziewają się wcale, aby ich plan został nam odkryty. Oni się głównie skoncentrują w wąwozach i na wszystkich pochyłościach, więc ta tak wysoko leżąca ścieżka, pozostanie prawdopodobnie po za obrębem ich rachuby i dla tego droga ta, w porównaniu z innemi drogami o których *wiedzą*, że są obsadzone przedstawia widoczną dla nas korzyść.

— I pan sądzisz, że tą ścieżką możnaby się w nocy przedostać?

— W nocy jasnéj jak dzisiejsza, niezawodnie! Właśnie światło księżyca usuwa największą trudność, łatwo bowiem przyjdzie odnaleść początek jéj pośród krzaków i pierwsze strome zakręty. Stanąwszy raz na górze, nie podobna już zabłądzić, zwłaszcza że księżyc dosyć jasno pośród drzew przyświecać będzie. Można więc korzystać z téj górskiéj drożynki, bo jestem przekonany że ona uszła baczności nieprzyjaciela.

Major zamyślony głęboko, znowu przechadzał się po pokoju. Masz pan słuszność, rzekł nareszcie. Przynajmniej sprobować należy, chociaż będzie to zuchwałe, szalone przedsięwzięcie, ażeby dwóch najwięcéj trzech ludzi wyprawiać przez miejsce zapełnione nieprzyjacielem w tem jedynie przypuszczeniu, że ścieżka mogła pozostać przez niego niezajętą. Możnaby dziesięć przeciwko jednemu postawić, że pan zostaniesz spostrzeżony i zabity; tymczasem niebezpieczeństwo jest zbyt naglące. Czy pan dobrze pamiętasz tę drogę?

— Jak najdokładniéj.

— W takim razie nie pozostaje nam, jak pośród naszych ludzi wybrać najodważniejszych, którzyby się na tak śmiałe przedsięwzięcie puścić mogli. Nasz Kapral Braun....

— Leży jeszcze chory, odparł Walter spokojnie. Pan widzisz, panie majorze, że to zadanie tylko na mnie jednego przypada.

— Walterze! Czyś ty oszalał? zawołał przestraszony doktór Behrend.

I sam major cofnął się zmieszany, gdy tymczasem inni oficerowie z pewnym rodzajem trwożliwego zdumienia spoglądali na mówiącego. Walter był ulubieńcem, dumą swoich towarzyszy, ukochanem dzieckiem przełożonych i mimo skromności swojéj i życia cichego, wywierał przecież na wszystkich co go otaczali tę dziwną porywającą władzę, jaka tylko genjalnym charakterom jest właściwą. Widzieli oni go już tyle razy, idącego odważnie na czele swego szeregu do bitwy, tyle razy dzielili już z nim wszystkie niebezpieczeństwa, że dzisiejsza odwaga jego, nie była żadną dla nich nowością, ale co innego jest walczyć i poledz z bronią w ręku, a co innego paść śród nocy bezbronną ofiarą kuli przygotowanéj w zasadce, lub co smutniejsza, paść ofiarą jakiegoś jeszcze nikczemniejszego zamachu. Było tu coś więcéj niż zwyczajna odwaga, mogąca tak smutne sprowadzić następstwa, i dla tego też wszyscy byliby najchętniéj woleli widzieć każdego innego, a nie Waltera, podejmującego się tak wielkiéj z siebie ofiary.

— Jak to, pan? panie poruczniku Fernow, pan.... chcesz się podjąć spełnienia tego zadania?... Rzekł major powolnie i z naciskiem. Nie, to być nie może! Ja, w takich razach nie mogę poświęcać moich oficerów, których straciliśmy już tylu w ostatnich bitwach, a których do następnych tak bardzo potrzebować będziemy. Tego rodzaju posyłka jest rzeczą naszych prostych żołnierzy, i ja wynajdę sobie do niéj odpowiednich ochotników.

Walter przysunął się jeszcze bliżéj do stołu. Światło kilku świec woskowych padało na jego marmurowe bladością okryte oblicze.

— Obecnie jestem tylko jeden, co znam tę drogę, a zatem jeden tylko, co nią udać się mogę i muszę. Opisać, opowiedzieć téj drogi nie można, zatem wysłanie kogobądź innego naraziłoby całą naszą sprawę z góry zaraz na najboleśniejszy zawód.

— Ależ, wtrącił major głosem wzruszonym, ja w obecnych okolicznościach, pana najwięcéj oszczędzać jestem obowiązanym, a powtarzam panu, że nadzieja przedarcia się tą drogą jest niezmiernie wątłą... Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pan zginiesz tam!

— Być to może! A może też nie! W każdym razie, możliwość taka nie zdoła mnie wstrzymać od przedsięwzięcia, które prostym żołnierzom poruczyć chcecie!

Major zerwał się z miejsca i wyciągnął obie ręce do Waltera. Masz pan słuszność! rzekł głosem stłumionym. Więc idź w imię Boże! Uda się, to uratujesz kilka set naszych dzielnych chłopaków! Nie... to nawet najbardziéj zabłąkana kula może przynieść śmierć bohaterską! Ilu potrzebujesz pan ludzi do téj wyprawy?

— Nikogo! Jeżeli nas napadną, zginiemy pod przemagającą siłą. Byłoby więc rzeczą niedorzeczną narażać więcéj ludzi tam, gdzie jeden człowiek wystarczyć może. Zresztą większa liczba mogłaby się tylko dla nas okazać zgubniejszą, występując niepotrzebnie w miejscach jasnych, gdzie każdy pojedynczy człowiek nierównie łatwiéj przed okiem nieprzyjaciela ujść może.

Stary major patrzał z pewnym rodzajem uwielbienia na młodego poetę i nauczyciela, jak Walter często przez żarty bywał nazywany, który wyrwawszy się raz ze swoich marzeń działał z takim zimnym, energicznym namysłem, że wtedy już najdrobniejszej okoliczności z uwagi swéj nie spuścił. Major niedomyślał się wcale, jaka to straszna burza przed chwilą jeszcze tym człowiekiem miotała, i zkąd pochodził ten spokój, z jakim on na tak wielkie szedł niebezpieczeństwo.

— Więc sam jeden! I kiedyż pan myślisz wyruszyć?!

— Nie prędzéj jak za godzinę. Niechaj księżyc pierwéj wejdzie, gdyż potrzebuję całego jego światła, ażeby się dostać na górę. W każdym razie mam jeszcze dosyć czasu, nawet gdyby jaka nieprzewidziana zaszła przeszkoda.

— Zatem moi panowie, rzekł major zwracając się do pozostałych, możecie się teraz oddalić, lecz bądźcie zawsze gotowi na jaki alarm nocny. Kapitanie, każ pan straże podwoić i dopilnuj, ażeby wszystkie poprzednie rozporządzenia były spełnione. Ja tymczasem pomówię jeszcze z porucznikiem Fernow o sprawie, któréj on się podejmuje.

Oficerowie wyszli, lecz kapitan zatrzymał się jeszcze we drzwiach mowiąc: Dobranoc poruczniku Fernow!

Na ustach Waltera pojawił się chwilowy uśmiech wiedział on, co to pożegnanie znaczyć miało.

— Dobranoc, kapitanie! — Dobranoc moi panowie!

Odwróciwszy się spojrzał w oczy doktora Behrend'a, który surowo i z pewnym wyrzutem wpatrywał się w niego.

— Więc ty już żadnéj wartości nie przywiązujesz do twego życia? Zapytał go cicho i z żalem.

— Nie! odpowiedział Fernow takimże głosem.

Doktór westchnął. Ale ja cię jeszcze zobaczę przed wyjściem?

— Zapewne! Idź już Robercie, idź!

I jeszcze raz, lecz żałośniéj westchnąwszy, doktór wyszedł za drugiemi. Walter pozostał sam z majorem i adjutantem.

W kwadrans potem opuścił i on kwaterę swego przełożonego, by się do własnego udać pokoju. Przechodząc przez korytarz, ujrzał jakąś ciemną postać o ścianę opartą, która szybko postąpiła ku niemu zastępując mu dalszą drogę.

—Panie Fernow! Od dawna czekam tu już na pana.

— Walter poznał Amerykanina i zatrzymał się.

— Czego pan sobie życzysz, panie Alison?

— Czy zechcesz mnie pan zaszczycić chwilą rozmowy?

Zapytany spojrzał na zegarek, miał jeszcze blizko godzinę czasu. Gotów jestem na usługi pana.

Wiedział on co nastąpić miało. Jedno spojrzenie na twarz Henryka przekonało go, że obawa panny Forest była uzasadnioną. Więc i to jeszcze! Ani jedna kropla z tego kielicha goryczy nie mogła mu być oszczędzoną!

Alison, nie mówiąc ani słowa poszedł przed nim i otworzył drzwi z przeciwnéj strony korytarza Walter na samem wejściu zawahał się chwilę; była to taż sama sala, w któréj niedawno co z panną Forest rozmawiał. Amerykanin spostrzegł to jego wahanie.

— Tutaj jest bardzo wygodnie.... można rozmawiać bez przeszkody. Ale może pan wstręt jaki czujesz do tego właśnie miejsca.

Nic nie odpowiedziawszy, młody oficer przestąpił próg szybko, i Alison wszedł za nim. Sala była znowu zupełnie pusta; jak pierwéj oświetlała ją jedna lampa zwieszona z sufitu, ogień już wygasł w kominie i tylko pozostały żar błyskał jeszcze od czasu do czasu czerwonym przelotnym płomykiem, przy którym i teraz odbijały się ponuro dwie męzkie postacie, stojące naprzeciwko siebie. Jak pierwéj, Walter stanął oparty łokciem o komin; przed nim, w miejscu, które poprzednio Jenny zajmowała, stał Henryk, rozdzielało ich tylko dogorywające się ognisko.

W bladych rysach Fernowa malował się cichy spokój; jego głęboka, w sobie zamknięta, marząca natura nie zdolną była otrząsnąć się łatwo z namiętności, która się w głębi serca jego zagnieździła. Nie mógł on jéj ani zwalczyć, ani przeboleć, ale to poddanie się okolicznościom, jakie sobie dobrowolnie wybrał, nie było ani lękliwem, ani poniżającem. Wszakże i od zabłąkanéj kuli można bohaterską zginąć śmiercią! I było coś natchnionego w jego wzroku, który się na ogród zwracał, gdzie śród drzew i krzewów coraz więcéj przybywało już światła. Właśnie księżyc rozpoczynał na wschodniéj części nieba swoją spokojną, nocną wędrówkę.

Inaczéj wyglądał narzeczony Jenny! Rysy jego piętnowała prawdziwie szatańska złość, oczy iskrzyły się złowrogim żarem i tylko całą potęgą silnéj woli, powściągał konwulsyjne drganie swoich ust zaciśniętych. Rachuba z jaką młody kupiec po miljonowy posag sięgał, powiodła się szczęśliwie, lecz zbytek miłości, jakiego sobie, według wyrażenia Atkins'a jednocześnie pozwolił, musiał być przesadzony. Namiętność stała niewzruszenie przy swoich prawach; pod jéj potężnym wpływem, ślepy i nie czuły na wszystko inne, gotów on był więcéj niż miljony, bo życie swoje i honor poświęcić.

Walter czekał kilka sekund w milczeniu, zanim Henryk, gwałtownem miotany wzruszeniem przemówić zdołał Głos jego był dziwnie ostry, niemal chrypliwy, kiedy się w następujące odezwał słowa:

— Chciałem pana prosić o niektóre objaśnienia, panie Fernow, których mi pan zapewne odmówić nie zechcesz. Mniej więcéj przed godziną rozmawiałeś pan w temże samem miejscu, gdzie teraz jesteśmy, z panną Forest?

Walter zwrócił swoje wielkie oczy bystro i surowo na niego.

— Tak, może pan byłeś świadkiem téj rozmowy?

— Byłem nim!

Młody oficer pozostał zupełnie spokojny. Musiałeś pan zatem słyszeć cośmy mówili.

Uśmiech gorzkiéj ironji zadrgał na ustach Henryka. Mówiłeś pan z nią po niemiecku, tym ukochanym waszym językiem ojczystym! Zatem nie mogłem zrozumieć pańskich czułostek. Słyszałem tylko imiona. Brzmiały one bardzo słodko, to imię Joanna! było niemal tak czułe jak Walterze! które jéj usta wymawiały.

Ciche bolesne wzruszenie odbiło się w rysach Waltera, który je przecież natychmiast stłumił. Zdaje mi się, że pan chciałeś mnie o coś zapytać. Chciéj pan o tem tylko pamiętać!

— Masz pan słuszność! rzekł Henryk ponuro. Pamiętajmy o tem.... Więc.. pan kochasz pannę Forest?

— Tak jest!

— I jesteś kochanym?

Walter milczał, lecz oczy Alisona, tak zuchwale wyzywającą pałały nienawiścią, że wszelkie w obec niéj powściąganie się mogłoby być uważane za tchórzostwo.

— Tak! odpowiedział stanowczo.

Takiż sam, syczący jak pierwéj głos wydobył się ciężko z ust Henryka; głos podobny do syczenia zranionéj żmii.

— Żałuję, że te czułe porozumienia się wasze przymuszony będę przerwać na przyszłość. Zapewne Miss Forest wyznała już panu, że ja dawniejsze względem niéj posiadam prawa i że wcale nie będę skłonnym praw tych nikomu ustąpić.

— Wiem o tem.

— Zatem pojmiesz pan i to, że skoro pewny jestem ręki Miss Forest, nie chcę miłości jéj tolerować dla kogo innego, jak tylko dla jéj męża, przynajmniej nie chcę jéj widzieć dla żadnego człowieka żyjącego.

Walter odstąpił od komina i zbliżył się śmiało do Alisona.

— Czy to mam uważać jako wyzwanie?

— Nie inaczéj! Ale ja nie rozumiem waszych niemieckich ceremonii ze świadkami, sekundantami i wszelkiego rodzaju przygotowaniem: podaję panu środek daleko prostszy. Będziemy losowali, kością lub na węzełki o rozstrzygnienie naszego losu, my dwaj tylko, bez nikogo trzeciego. Przegrywający zobowiąże się pod słowem honoru, że w ciągu dwudziestu-czterech godzin, ustąpi miejsca wygrywającemu, to jest że żyć przestanie i... na tem koniec.

— A więc pojedynek amerykański?

—Tak! w tym razie jest on bezwarunkowo najlepszym.

— Rysy Waltera wyrażały surowy wyraz pogardy, gdy odpowiedział: Żałuję, panie Alison, że ten rodzaj zadosyć uczynienia nie zgadza się wcale z mojemi pojęciami o honorze. Stawając naprzeciwko siebie, musimy to uczynić z całą, jak pan powiedziałeś niemiecką ceremonjalnością, oko w oko, i z bronią w ręku. *Walczyć*, pragnę jeszcze o moje życie, *przegrywać* je w kości nie myślę.

W oczach Henryka błysnęło gorzkie szyderstwo. Pojedynek taki nie jest wprawdzie równie poetyczny jak wasze, lecz.... jest pewniejszy!

— Mniejsza o to, nie zgadzam się na niego. A zresztą zdajesz się pan o tem zapominać, że o żadnym pojedynku mowy być nie może, dopóki ja w wojsku zostaję. Moje życie nie do mnie należy, oddałem je na teraz powinności, którą przedewszystkiem spełnić muszę. Nie wolno mi mojéj ojczyzny nawet jednym zubożyć obrońcą, i dopóki wojna trwać będzie, nie mogę ani osobistéj zemsty szukać, ani się na takową wystawiać. Jeśli zginę w dalszym jéj przebiegu, to życzenie pana samo przez się będzie spełnione, jeśli nie, gotów będę po zawarciu pokoju dać panu żądane zadosyć uczynienie, ale nie prędzéj.

Henryk złośliwie się rozśmiał. Po zawarciu pokoju! Może jak pan powrócisz na swój urząd profesora uniwersytetu w B., gdzie rektor i senat, a w razie potrzeby, cały uniwersytet zasłoni pana tarczą nauki, tarczą moralnego oburzenia na średniowieczne barbarzyństwo, które bynajmniéj nauczycielowi młodzieży nie przystoi, i kiedy pan zniewolony temi wyższemi względami, unikniesz wszystkiego. Ślicznie to obmyślane, panie Fernow. Tylko zapomniałeś, że nie jestem tak dziecinny, ażeby się na to wszystko dać złapać!

Lica Waltera zapłonęły nagle,—ręka mimowolnie chwyciła za rękojeść szpady, lecz tejże saméj prawie chwili opadła napowrót.

— Ilu bitwom w których ja walczyłem, przypatrywałeś się pan przez lunetę? zapytał spokojnie.

Zarzut nie chybił swego celu, lecz podrażnił Amerykanina jeszcze bardziéj i wzrokiem rozjątrzonego tygrysa, spojrzał na stojącego przed nim Fernowa.

— Skończmy już! zawołał z gniewem. Jeszcze raz daję panu do wyboru: albo dzisiejszéj jeszcze nocy dasz mi żądane zadosyć uczynienie, mniejsza o to w jaki sposób, bo jestem teraz na wszystko przygotowany, albo....

— Albo?

— Skutki tego padną na twoją głowę!

Walter założył ręce jak najspokojniéj. Dzisiejszéj nocy żadną miarą nastąpić to nie może, ponieważ mnie tu nie będzie.... muszę iść w góry. W oczach Henryka błysnęło coś strasznego; pochylił się naprzód, słuchając bez tchu prawie dalszych słów Waltera, a zresztą jestem zniewolony powtórzyć panu jeszcze raz to, com pierwéj powiedział, rozwiązanie sporu naszego musi być odroczone aż do ukończenia wojny, wtedy stawię się panu, lecz ani jednym dniem prędzéj, jeżeli zaś pan zechcesz zniewolić mnie do tego obelgą jaką, w takim razie usuwając wszelkie względy, odwołam się do orzeczenia moich przełożonych.

Ta ostatnia groźba była już zbyteczną, gdyż Henryk uspokoił się nagle, co więcéj nawet uśmiechnął się, lecz był to uśmiech straszny dreszczem przejmujący.

— Więc pan stanowczo mi odmawiasz? Dobrze! Ale gdybyśmy się kiedy niespodziewanie spotkać mieli panie Fernow, proszę pamiętać, że to ja uczciwą, honorową walkę proponowałem panu, i że jéj nie przyjąłeś. Do widzenia!

I wyszedł. Walter pozostał nieruchomy na swojem miejscu spoglądając w milczeniu na gasnące stopniowo zarzewie. Zagasły już żywe jasne płomienie ogniska które jego rozmowie z Joanną przyświecały, zagasł i czerwony odbłysk tlejącego zarzewia, a teraz pojedyncze tylko iskry majaczyły jeszcze gdzieniegdzie jak błędne ogniki, ginąc nareszcie jak wszystko w prochu i popiele. Przez okna rzucał księżyc na posadzkę sali srebrzyste smugi światła; noc wyjaśniła się zupełnie, czas było wyruszyć wkrótce w drogę.

W tem znowu drzwi się otworzyły. Tym razem był to Atkins który szybkim krokiem przystąpił do Waltera.

— Szukałem cię, panie Fernow! rzekł niespokoj-

nie. Sam pan jesteś! Czy Alison nie był tu z panem?

— Dopiero co mnie opuścił.

— Domyśliłem się tego! szepnął Atkins do siebie. Spotkałem go na schodach. Co tu zaszło? Co zaszło pomiędzy wami?

Walter odwrócił się by wyjść z salonu. Jest to panie Atkins, sprawa, która tylko mnie i pana Alisona obchodzić może. Dobranoc.

Atkins zatrzymał go przecież. Rysy jego dziwny zdradzały niepokój. Bądź pan rozsądnym, panie Fernow, i ty przynajmniéj nie odmawiaj mi swéj odpowiedzi. Henryk nie chciał mówić ze mną, lecz twarz jego powiedziała mi wiele. Przychodzę ostrzedz pana. Strzeż się tego człowieka!

Walter wzruszył tylko ramionami. Jeżeli pan chcesz przez to powiedzieć, że moje życie może być zagrożone, nie będzie to dla mnie żadną nowością. Pan Alison sam powiedział mi dosyć otwarcie, że jeden z nas musi zejść z tego świata.

— Więc on wyzwał pana?

— Tak.

— A pan?

— Oświadczyłem mu, że teraz pojedynkować się anim powinien ani chcę, że zatem cała ta sprawa musi być odłożoną aż do końca wojny.

Atkins wstrząsnął głową niespokojnie. Nie znasz pan Henryka, jeżeli sądzisz, że go takie powody wstrzymają. On dzisiaj nie jest już zdolny do rozsądnego zastanowienia się nad położeniem rzeczy, inaczéj bowiem nie narażałby tak swego życia, a powinieneś pan wiedzieć, że namiętność aż do szaleństwa podniecona, nie czeka przez długie może miesiące na swą zemstę. Jego oczy nie podobały mi się, obawiam się, że może niebezpiecznie jest ażebyście téj nocy pod jednym spali dachem.

Nie będziem też spali pod jednym dachem, odparł Walter spokojnie. Ja przynajmniéj spać tu nie będę, gdyż za chwilę udać się muszę w góry.

— Gdzie się pan musisz udać? Zapytał Atkins przestraszony.

— W góry! Gdzie i dla czego? to, tajemnica służbowa.

— Może pan sądzisz, że cię pragnę wybadać? zagadał Amerykanin mocno oburzony. Spodziewam się, że pan tam pójdziesz ze stosowną siłą zbrojną?

— Nie! sam idę.

Atkins cofnął się przerażony i spojrzał na niego wzrokiem przeszywającym od stóp aż do głowy. Panie Fernow, to bardzo, bardzo nierozważnie z pańskiéj strony wypowiadać takie rzeczy jawnie! rzekł półgłosem.

Walter uśmiechnął się nieznacznie. Nie mówiłbym o takiéj rzeczy ani przed służbą zamkową, ani też w obec mieszkańców tutejszéj wioski; pana zaś znam dostatecznie, abym się mógł jakiéj zdrady obawiać, zresztą, wszelka zdrada byłaby nawet niepodobieństwem, gdyż ani pan, ani pan Alison nie przejdziecie przez nasze forpoczty.

Atkins wzdrygnął się na te słowa. Czyś pan także i o tem mówił Alisonowi?

— Tyle co i panu, więcéj nic!

Amerykanin patrzał na niego z pewnem politowaniem.

— Dziwna jest ta niemiecka dobroduszność! rzekł do siebie półgłosem, poczem przystąpił bliżéj do Fernowa i położywszy rękę na jego ramieniu, powiedział uroczyście:

— Panie Fernow! usłuchaj pan rady człowieka, któremu z wielką przykrością przychodzi składać pewien rodzaj ukorzenia swego współrodaka i towarzysza, ale tu idzie o zapobieżenie wielkiemu nieszczęściu. Nie idź pan dzisiejszéj nocy w góry; pan się narażasz na wielkie niebezpieczeństwo, rozumiesz mnie pan? Nie idź pan sam jeden! Zdaj to na kogo innego.

— Nie mogę.

— To zabierz przynajmniéj zbrojnych ludzi ze sobą.

— Nie mogę, panie Atkins.

— Ha! więc idź pan na swoją zgubę! Zawołał Atkins w gniewnem uniesieniu. Ja spełniłem już co do mnie należało, teraz przyjmij na siebie samego wszystkie dalsze następstwa.

Walter wzdrygnął się niecierpliwie. Uspokój się pan, wszystkie te obawy są bezzasadne. Powtarzam panu raz jeszcze, że zupełnem niepodobieństwem jest dla każdego, kto hasła naszego nie zna, ztąd w góry się dostać, straże zaciągnęliśmy potrójne.

Mimo tych objaśnień Atkins nie uspokoił się bynajmniéj. Pan nie wiesz, czego Henryk dokonać może! On przygotowuje jakieś nieszczęście. O! ja go znam dobrze! Jest to w gruncie charakter nieposkromiony, który wychowanie i okoliczności pozornie tylko złagodziły. Jeżeli taki charakter raz wystąpi ze swoich karbów, wtedy żadnych już nie zna granic. W dzisiejszem swojem usposobieniu, on do wszystkiego jest zdolny.

— Ależ nie do morderstwa, wtrącił Walter spokojnie.

Znowu na ustach Amerykanina pojawiło się coś z jego dawnego sarkazmu. Wy, Niemcy, wprowadzacie zawsze wasze subtelne pojęcia o honorze nawet do szału rozkiełzanych namiętności! Henryk jest Amerykaninem, nie zapominaj pan o tem. Odmówiłeś mu pan jedynéj uprawnionéj drogi do zemsty, nie będzie się więc teraz wdawał w jakieś idealne poglądy na to, co jest prawem i bezprawiem. Strzeż się panie Fernow, ja za nic już nie ręczę!

Walter skinął lekko lecz stanowczo głową. Ja więcéj ufam Alisonowi niż pan. Może on mnie śmiertelnie nienawidzieć, jednakże nie sądzę, ażeby był zdolnym dopuścić się rzeczy, o jakich pan mi napomykasz. Powiedz mu pan, tu dziwny, jakby wieszczy uśmiech okrasił piękne, zasmucone oblicze młodego oficera, „powiedz mu pan, że nie potrzebuje nastawać na moje życie; życzenie jego bez tego wszystkiego zostanie spełnione. Muszę się już oddalić, panie Atkins, pozdrów odemnie miss Forest i.... bądź pan zdrów!

Odwrócił się szybko i wyszedłszy z sali, udał się do własnego pokoju.

Henryk rzeczywiście spotkał Atkinsa przed schodami, prowadzącemi do ich wspólnego mieszkania, ale Henryk tam nie poszedł. Odpowiedziawszy na pytania towarzysza w sposób, który na pół uśpione obawy jego na nowo obudził, a który nadto był dlań pobudką do powyższéj rozmowy z Fernowem, zwrócił kroki swoje do mieszkania murgrabiego zamku, które mu jeden z żołnierzy usłużnie wskazał.

Murgrabia, człowiek już stary, rysów ostrych lecz twarzy przebiegłéj z błyszczącemi ciemnemi oczkami, siedział u stołu przy zapalonéj lampie i przewracał swoje książki rachunkowe. Wyglądał on ponuro, kiedy drzwi otworzono, lecz ten wstręt cechujący jego oblicze z jakim spotykał każdego co tylko do kwaterujących nieprzyjaciół zamku należał, złagodniał nieco, gdy poznał doń wchodzącego cudzoziemca. Wiedział on już, że owi podróżni byli Amerykanami, którym tylko niemożność znalezienia pomieszczenia we wsi, zjednała gościnne przyjęcie na nocleg do zamku. Jakkolwiek ci cudzoziemcy byli gośćmi nieprzyjaciela, nie należeli przecież do żadnego nienawistnego Francuzom narodu, a ponure powściągliwe zachowanie się popołudniu Alisona w gronie niemieckich oficerów, które francuzki murgrabia miał sposobność zauważyć, posłużyło mu za dostateczną rekomendację. Podniósł się więc grzecznie, chociaż nawet z pewną nieufnością i postąpił kilka kroków na jego spotkanie.

— Czem panu mogę służyć?

Henryk zamknął ostrożnie drzwi za sobą i rzucił badawcze spojrzenie na całe mieszkanie. Gdyby Walter mógł teraz przypatrzyć się temu obliczu, którego każdy muskuł był natężony pod naciskiem silnéj, żelaznéj woli, byłby może baczniejszą zwrócił uwagę na życzliwe przestrogi Atkinsa.

— Chciałem o ważnéj rzeczy z panem pomówić. Czy nas tu nikt nie podsłucha?

Francuz nadstawił ucha z całą uwagą. Jesteśmy zupełnie sami. Pokój ten, jak pan widzisz, ma tylko jedno wyjście.

Henryk przybliżył się do stołu i skinął na starca, ażeby toż samo uczynił. Głos swój zniżył aż do cichego szeptu.

— Wiesz pan zapewne, że nam dalszéj podróży odmawiają. Towarzystwo moje uległo konieczności przepędzenia nocy w zamku, ale ja muszę nieodzownie dzisiaj wieczorem dostać się w góry.

— To jest niemożebne, panie! rzekł Francuz grzecznie, lecz zimno. Prusacy obsadzili wszystkie wyjścia, bez ich pozwolenia nikt na drogę w góry wiodącą przepuszczony nie zostanie.

Henryk spojrzał mu bystro w oczy. I pan byś nie wiedział jak się tam dostać mimo wszystkich posterunków i wart, gdyby panu na tem zależało, gdyby naprzykład chodziło o dostarczenie jakich ważnych wiadomości wolnym strzelcom?

Francuz zmierzył go także ze swojéj strony badawczym, ale trwożliwym wzrokiem.

— Wszakże panu mówię, że wszystkie wyjścia są strzeżone.

— Zawsze i wszędzie są drogi boczne, rzekł Alison stanowczo, których nieprzyjaciel nie zna, a które wiadome są mieszkańcom i przez nich w potrzebie używane. Dzisiaj po południu słyszałem oficerów mówiących między sobą, że mimo najściślejszego czuwania, zawsze istnieją pomiędzy wsią a górami pewne tajemne komunikacje, zatem musi i tutaj być jakaś podobna ukryta droga.

— Być może! Ale ja nie wiem o niéj.

Zamiast wszelkiéj odpowiedzi. Alison wydobył z kieszeni pugilares, wyjął z niego jedną banknotę i pokazał ją staremu. Ten musiał znać wartość tego papieru i ta wartość jego musiała być ogromna, gdyż z widocznym przestrachem spojrzał na Amerykanina.

— To zapłata za tę drogę! powiedział sucho i krótko.

Francuz cofnął się przerażony. Ja się nie sprzedaję panie!

Henryk położył papier jak najspokojniéj na stole. Niemcom nie! O tem wiem aż nadto dobrze. Mogliby oni panu dać dziesięć razy więcéj odemnie, ale byłoby to na próżno.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 19.

Dalszy ciąg opisu N. 32 i 58.

Garnirunek spódnicy składa się z wolantu 33 cent. szerokiego na podszewce, zakończonego w zęby, które go kontrafałdy po 6 centy. szerokie, oddalone są na 6 i pół cent. jedna od drugiéj. Przyozdobienie stanowi garnirunek ze skosu 14 cent. szerokiego, zakładanego w dwie kontrafałdy po 3 i pół centy. szerokości i naprzemian przepinanego kokardkami. Tak samo przybrany jest stanik i gładkie rękawy, których wzór podaliśmy w N. 18 rycina 29.

Vêtement zapinane na popielate guziki wycięte jest w około aż po stan w zęby, na które w odległości 5 i pół centy. nacina się materjał na 3 cent. głębokości i podkłada pod ząbek, jak to fig. 52 wskazuje. Zagłębienia między zębami zapełnia frendzla wełniana, mięszana biała z czarnem, przyszyta od spodu. Jako przybranie stanika służy kawałek materjału wycięty w zęby i naszyty z tyłu w kształt kołnierza. Wązkie rękawy dopełnione są falbaną oszytą frendzlą i wyciętą w zęby, która liczy 64 cent. długości i 14 szerokości; przyszycie falbany pokrywają ząbki 6 i pół cent. szerokie. Kokardy z podwójnego materjału.

N. 33. Kostium

z paletocikiem z peleryną (Peplum).

Krój N. II, Fig. 7—9. Przód patrz rycina 47 w N. 18 Tyg. Mód.

Model okrycia służący za dopełnienie kostiumu, który podaliśmy z przodu w N. 18 Tyg. Mód, z odmiennym garnirunkiem, składa się z kaftanika bez rękawów i z peleryny rozciętej w pośrodku z tyłu, połączonej za pomocą małego stojącego lub wykładanego kołnierzyka. Obie połowy peleryny przykrajane podług Fig. 9, są od wykroju szyi, aż do krzyżyka z lewej strony zszyte i następnie w o k o ł o przystrojone. Oszycie z plis 5 i 2 i pół cent. szerokich z atłasową wypustką, najstosowniejsze jest z jedwabnego rypsu, do okrycia z czarnego wełnianego rypsu. Grube pasmanterje lub wyszycie ze sznura, które daje się na pliskach lub po nad niemi, suta frendzla jedwabna, dopełnia przystrojenia. Sznurowa rozeta z kwastami ubiera z tyłu peplum.

N. 34. Ubranie

z podpinanym trenem.

Z tyłu podpinana powłóczysta spódnica, eleganckiéj wizytowéj sukni z brązowéj materji faille, potrzebuje podług rozmiarów wzoru przy tylnéj długości 140 cent. dwóch prostych tylnych brytów, po 60 cent. szerokości, a 25 cent. dłuższych od bocznych, które następnie z boków przymarszczone i podpięte w bufę, zastosowywują się do potrzebnéj długości spódnicy. Na 95 cent. długości przeciąga się poprzecznie zaszyty sznur, który przymarszcza szerokość obu tylnych do 38 cent; dwie albo trzy tasiemki, od spodu spódnicy przyszyte do listewki, w którą nawleka się sznurek i do paska układają lepiéj bufę. Cała spódnica aż po bufę, podszyta jest muślinem. Ośm i 12 cent. szerokie falbanki w górze nagłówkiem 2 cent. szerokim zakończone i wyszyciem z jedwabiu tego samego koloru ozdobione, jako też kokardy z materjału sukni i aksamitu, stanowią przybranie tuniki, szarf i stanika.

Opis do N. 20.

N. 1. Ubranie

z vêtement i odznaczonym kaftanikiem i baskiną.

Rycina przedstawia suknię z ciężkiéj, czarnéj, jedwabnej materji, przybraną plisami aksamitnemi, przyozdobionemi w górze wyszyciem ze sznura i zakończonemi bogatą jedwabną frendzlą. Takie oszycie dobrane do koloru sukni bardzo ładnie wydaje się w jakimkolwiek kolorze. Na spódnicy trochę powłóczystéj, dodany wolant 25 cent. szeroki, wycięty w zęby; po nad wolantem bufa z materji, przepinana kokardami z materji i aksamitu, naszyta również w zęby. Odpowiednio do niéj, dane są na wązkich rękawach potrójne bufy, u dołu zaś wyłożenie z aksamitu naszyte sznurem. Na vêtement, zapinanem z przodu na guziki, dane jest przybranie, naśladujące kaftaniczek i baskinę dopełnione z tyłu kokardą.

N. 2. Suknia

z tuniką i stanikiem z karoczkiem.

Do kostjumowej spódnicy z jasno popielatego wełnianego materjału, przyszyty jest wolant 46 cent: szeroki, a 400 mający obwodu. Tunika składa się z przedniego bryta, zaokrąglonego u dołu i z tylnych brytów, podpinanych w bufy, przyszytych do przedniego; zbywająca długość tylnych brytów, założona jest na szwie bocznem w fałdy, które przykrywa garnirunek przedniego bryta. Przybranie tuniki, karoczka i półotwartych rękawów, składa się, z szerokich i wązkich plisek z ciemniejszą wypustką i z frendzli wełnianéj do cieniu. Na wolancie dane są tylko pliski.

N. 3. Kokarda do kołnierzyka.

Kokardę tę składa prosty przewiązany węzeł, z dwoma końcami, ściętemi w zęby. Węzeł podszywa się sztywną tekturą, poszytą materją, 2 cent. szeroką a 36 cent. długą, do któréj przytwierdza się również śpilka do przypinania. Podany model odrobiony jest z krepowanej jedwabnéj wstążki, 13 cent. szerokiéj, 46 — 50 długiéj, oszytéj frendzlą 4 cent. szeroką. W miejsce tkanych bukietów, jakie widzimy na rycinie, można wyhaftować atłaskiem piękne kolorowe bukiety, girlandki, przez co kokarda o wiele jest strojniejszą. Na takich końcach można naszyć również gwiazdki lub bukiety, wykończone własnoręcznie robotą frywolitową, lub koronkową do czego wielokrotnie podawaliśmy wzory w Tygodniku Mód.

N. 4. Krótki paletocik

z fałdowanemi plecami.

(Paletocik ten może być przykrojony podług formy do ryciny 54, na arkuszu z krojami do N. 13 i 14 Tyg. Mód.) Przybranie krótkiego paletocika z miękkiego, kiprowanego wełnianego materjału, składa się z plis 2 cent. szerokich, z atłasową wypustką i 3 cent. szerokiego wyszycia białym jedwabiem. Wyszycie to ściegiem łańcuszkowym, sznureczkowym, można odrobić czarnym jedwabiem, lub w guście tureckim, kolorowemi jedwabiami.

Ozdobne guziki i pentelki sznurowe do zapinania, z tyłu suta kokarda z długo spadającemi końcami, ułożona z czarnéj aksamitki lub rypsowéj wstążki i frendzla czarna, przewiązywana białem, dopełniają przybrania.

N. 5. Krótki paletocik.

z plecami, zakończonemi spiczasto.

Pliski 2 i pół i 1 cent. szerokie, z atłasową wypustką, stanowią bardzo skromne przybranie paletocika, z czarnego kiprowanego materjału.

Wyszycie czarnym sznurem wykonać można podług wzorów, jakie podajemy w Tygodniku. Czarna frendzla, wiązana w kwaściki zakończa paletocik.

N. 6 Koniec do krawatki,

zakończony gwiazdką frywolitową.

Kółko środkowe gwiazdki odrobionej z cienkiéj bawełny, liczy 24 pod. węz. i 8 p. Drugi rząd składa się * z owalu o. 12 pod. węz. i 1 p. środkowego; owal ten przyczepia się do pikota kółka daléj zaś z przywiązaniem nitki pomocniczéj, odrabia się mały ząbek z 2 pod. węz. 1 p. i 2 p. węz. Powrócić od *. Trzeci rząd, robiony z nitką pomocniczą liczy * pół ząbka, z 6 pod. węz. 1 p. 2 pod węz. który spaja się z pi. ząbka poprzedniego rzędu i z p. owala — daléj robi się listek z 3 owali po 8 pod. węz. i znowu drugie pół ząbka. Powrócić od *. Wczwartym rzędzie daje się naprzemian, gładkie łuki z 16 pod, węz., których spojenie z poprzednim rzędem wskazuje rycina i 1 pod węz. 1 p, i 1 pod węzełek. Ząbki ostatniego rzędu liczą 2 pod. węz. 8 p. przedzielanych 2 pod. węz: i znów 2 pod węzełki.

N. 7. Koniec do krawatki

zakończony gwiazdką.

Srodek gwiazdki odrobionei z grubéj, kręconéj b a w e ł n y, składa się z 6 p. przedzielanych dwoma pod: węzełkami. Do niego przyrabia się dalsze rzędy o 6 ząbkach, odrabiane dwoma nitkami. Liczbę pod. węz. i p: oraz łączenie rzędów, dokładnie objaśnia rycina.



N. 1. Ubranie z vêtement i odznaczonym kaftanikiem i baskiną.

N. 2. Suknia z tuniką i stanikiem z karoczkiem.

Na kokardy do rękawów i przy podłużnym wykroju szyi, bierze się jasno popielatą rypsową wstążkę.

N. 8—10. Garnirunki do sukien

i parasolików.

Garnirunki do parasolików jedwabnych których wzory podamy w N. 21 Tygodnika, odrobione być mogą z gazy jedwabnéj, tiulu, krepy, z dodaniem węższéj lub szerszéj koronki. Do przystrojenia kolorowych z materjału linon najlepiéj nadaje się muślin.

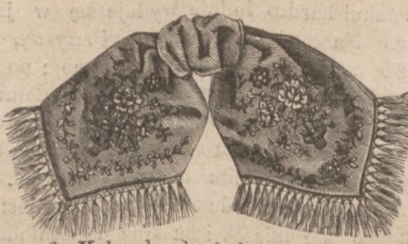
N. 8. Falbanka

w zęby oszyta haftem gipiurowym.

Odstające fałdy zastępujące nagłówek przy skośnéj falbanie, przyciśnięte są atłasowym rulonikiem lub grubym jedwabnym sznurem tegoż co falbana lub odmiennego koloru.



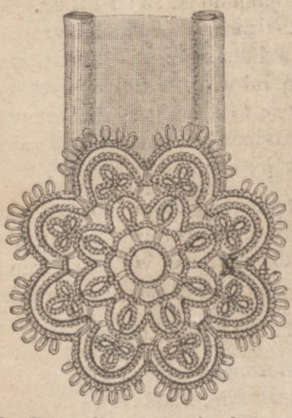
Krótki paletocik z fałdowanemi plecami.



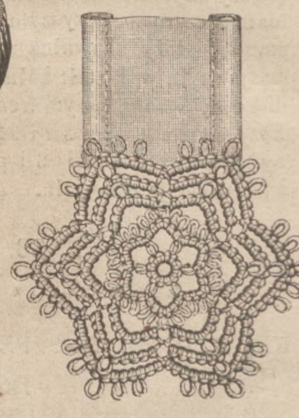
N. 3. Kokarda do kołnierzyka.



N. 5. Krótki paletocik ze spiczastym karoczkiem.



N. 6. Frywolitowa gwiazda do krawatki.



N. 7. Frywolitowa gwiazda do krawatki.

N. 9. Garnirunek w zęby.

zakończony pikotami, naszyty hiszpańską koronką z jedwabnéj torsady.

Fałdy układane ze skośnego kawałka zakończonego pikotami, rozszerzające się u dołu, przyciśnięte są w górze torsadką, u dołu zaś przytwierdzone guziczkami jedwabnemi. Środkowe naszycie odrobione z jedwabnéj torsady, nosi nazwę „hiszpańskiéj koronki" może także stanowić piękny nagłówek do frendzli. Wykonanie naszycia bardzo jest łatwe, owale z torsadki potrzeba tylko spajać od spodu nitką jedwabną.

N. 10. Wolant ułożony w kontrafałdy

zakończone w rozety.

Każda z potrójnych kontrafałd przeszywa się, oprócz górnego zamocowania, jeszcze raz poniżéj. Następnie górny brzeg rozkłada się w fałdy i przymocowywa aby szwy przykrywała koronka.

N. 11—12. Wachlarz „Pompadour"

z rączką do trzymania.

Dwa skrzydełka zwierzchnie, zasłaniające po złożeniu stopniowo ścinane skrzydełka środkowe, stanowią po rozsunięciu bardzo dogodną rączkę do trzymania. Takie wachlarze bywają po większéj części z jedwabnéj materji i gładkich skrzydełek.

N. 13—14. Japoński wachlarz

w kształcie parasolika.

Wachlarz z drzewa cedrowego, klonowego, różanego albo fijołkowego, urządzony jest okrągło nakształt parasolika i osadzony silnie na dość długiéj rączce. Skrzydełka ozdobione są zwierzchu malowaniem w kształcie pojedynczych arabesków lub też całą girlandką wkoło parasolika. Bardzo ładnie zdobi wachlarz wyrzynanie ażurowe na skrzydełkach, podłożone kolorową materją.

Co do parasolików to i w tym roku noszone będą na długich laskach z rączką do trzymania daną w górze po nad parasolikiem lub też przy dłuższym końcu jak to N. 18 przedstawia. Takie parasoliki odpowiednie są do codziennego użytku i zastępują tak dawniéj niezbędne parasole en tout cas. Do toalet wizytowych lub na koncerta i spacery parasoliki dobierają się strojniejsze i mniejsze, pokrywane materją jedwabną koloru sukni i odpowiednio tejże oszywane koronkami, garnirunkami z tiulu, plisowanemi falbankami muślinowemi i ozdabiane sutemi kokardami. Pięknie także wyglądają kolorowe girlandy lub bukiety, malowane na tle gładkiem jedwabnem. Tego roku wracają znowu w modę parasoliki ze składanemi rączkami, skówka do prostowania rączki jest tak samo wyrabiana jak cała rączka, przez co nic się od niéj nie różni i jest zupełnie niewidoczną.

Najwięcéj eleganckie rączki do parasolików wyrabiane są z kości słoniowéj, skromniej lub też ozdobniéj rzeźbione. Nawet do długich lasek dodawane są ozdoby kościane; najpraktyczniejsze jednak są laski drewniane z gustownemi rączkami i zakończeniem, do popielatych parasolików stosowne są bardzo laski oklejone juchtową skórą, gładką lub wyciskaną w złote desenie.

Gładkie parasoliki jedwabne ciągle są noszone, ale modniejsze i strojniejsze są na jedwabnéj podszewce, przybrane garnirunkami lżejszemi lub sutszemi stosownie do tego czy parasolik jest codzienny lub do strojnego ubrania. Wełniane parasoliki garnirują się falbankami, lub riuszą jedwabną tegoż co parasolik koloru.

Zęby okrągłe, większe lub mniejsze, drobniuchne, spiczaste, wyszycie sznurem na parasolikach, bardzo są teraz modne.

Podajemy wzory różnych garnirowań i parasolików podług których łatwo będzie zrobić wybór w magazynie pani Hofertowéj przy ulicy Senatorskiéj.

N. 15. Parasolik przybrany riuszą.

8 cent. szeroki wolant przy parasoliku wełnianym żółtawego koloru, zakończony jest brzeżkiem z gipiurowego haftu, który nadaje się bardzo do przystrojenia letnich kostjumów. Rulonik atłasowy ciemniejszy przyciska nagłówek i rozdziela także riusze atłasowe, dane z obu brzegów bufy jedwabnéj; na rulonikach naszyty jest lub wyhaftowany drobny rzucik.

N. 16. Parasolik wyszywany sznurem.

Głęboko wycięte zęby, obejmowane atłasem, oszyte są wolantem marszczonym do którego nagłówek stanowią gładko rozłożone zęby. Arabeski do których deseń bardzo łatwo ułożyć sobie podług wzoru, wyszyte są cienkim sznureczkiem jedwabnym.

N. 17. Parasolik przybrany z boku kokardą

Wolant marszczony wycięty w duże zęby, może być u dołu także zakończony drobno wyciętemi ząbeczkami, albo jak na rycinie 9 oszyty pikotami w piaskowym, białym lub czarnym kolorze. Kokardę z pięknéj rypsowéj wstążki zdobi koliber o różnobarwnych piórkach, lub kwiat maleńki.

N. 18. Parasolik

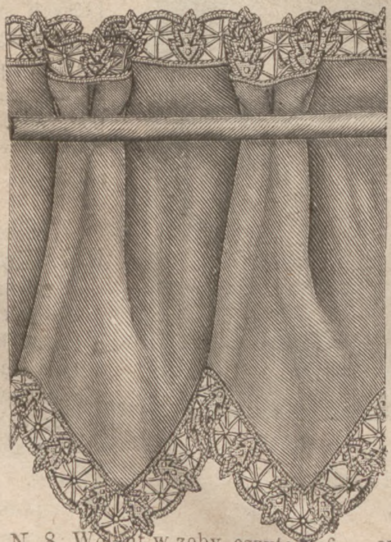
z długą laską i rączką.

Parasolik ten ma rączkę z długą laski, materja zaś pokrycia wycinana jest w zęby spiczaste jakie zwykle dają u markizy, które obejmują się skosem ciemniejszego koloru. Po nad zębami naszyte są dwie jedwabne riusze, osobno z brzegów odstająca podszewka wycięta jest w ząbki i ułożona przy lasce w zgrabne fałdy.

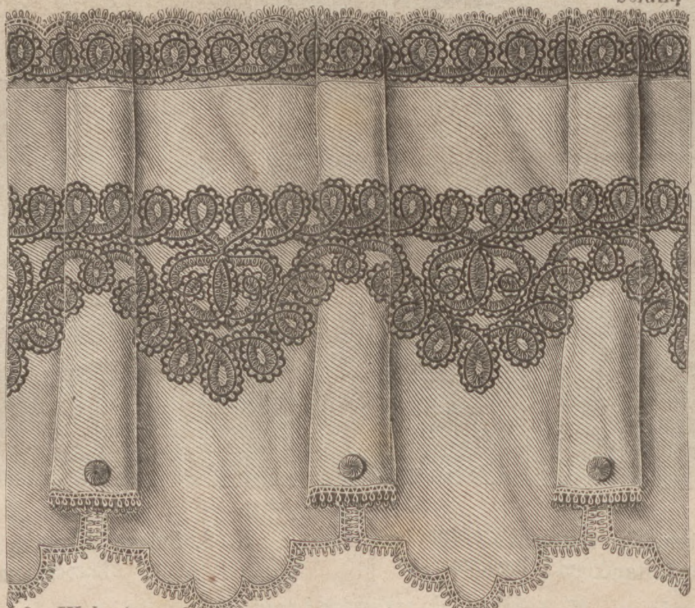
N. 19. Parasolik

zakończony kokardą.

Do parasolika pokrytego czarną jedwabną materją, dodany jest wolant z podwójnym nagłówkiem wycinany w zęby. Kokarda jest z rypsowéj wstążki u któréj końce są wysiepane w frendzlę. Do gładkich materji na pokrycie, najstosowniejsze są gładkie drewniane kije z kościaną oprawę.



N. 8. Wolant w zęby, oszyte haftem gipiurowym.



N. 9. Wolant w zęby, oszyte pikotami, przybrany hiszpańską koronką z jedwabnéj torsady.



N. 10. Wolant w kontrafałdy, zakończone w rozety.

N. 20 i 21. Składany parasolik

powleczony muślinem, z koronkowym haftem.

Ryciny 20 — 21 przedstawiają parasolik złożony i otwarty, na którym gustownie i strojnie wygląda powleczenie z haftem. Podłużne kwadraty są ażurowo wrobione w muślin, przez co kolorowa materja ładnie przebija. Brzegi zakończone frendzlą koloru pokrycia.

Rozeta odrobiona tak jak kwadraty i szlak brzeżny, wraz z kokardą ze wstążki ozdabia parasolik u góry.

-i z brzegów objęty wstążeczką. Pośrodku podstawy przyszywa się kawałek podwójnie złożonego tiulu 6 i pół cent. szeroki, a 3 cent. wysoki. Na takiéj podstawie naszywa się po obu stronach riusze z białéj blondyny 6 cent szerokiéj, dodaje puklez kolorowéj wstążki 3 cent: szerokiéj i gałązkę drobnych, delikatnych kwiateczków białych. Kokardy przyszyte na rogach, złączone są wstążką 36 cent. długą; z pod jednéj kokardy bocznej o długich puklach spadają dwa długie końce stopniowanéj długości. Z pod drugiéj kokardy spuszczony jest koniec z podwójnie wziętego jedwabnego tiulu, 9 cent. szeroki, a 52 centy. długi. Pomiędzy koronką układaną



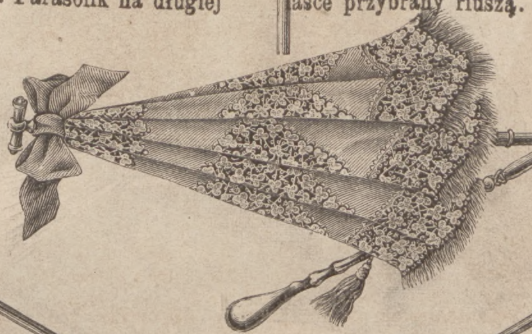
N. 15. Parasolik na długiéj lasce przybrany riuszą.



N. 16. Parasolik na długiéj lasce wyszyty sznurem.



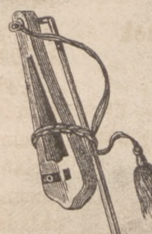
N. 17. Parasolik na długiéj lasce przybrany z boku kokardą.



N. 20. Spacerowy składany parasolik pokryty muślinem z koronką. Zamknięty. Patrz N. 21.



N. 12. Wachlarz Pompadour zamknięty. Patrz N. 11.



N. 14. Japoński wachlarz parasolkowy. Zamknięty Patrz N. 13.

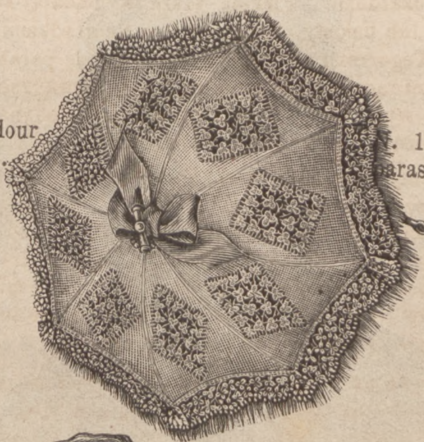
N. 22 Parasolik z koronką

lub gipiurą.

Na parasoliku pokrytym materją i muślinem dodane jest przybranie z koronki, lub gipiury. Strojność parasolik o wiele podnosi jedwabna frendzla z kulek. Kokarda ułożona jest ze wstążki 4—5 cent. szerokiéj koloru parasolika lub trochę ciemniejszego.

wachlarzowo, wszywane są pojedyncze pukle o jednym końcu, wyciętym w ząb.

Ząbki aksamitne przyszyte atłasowem rulonikiem, stanowią przybranie jedwabnéj sukni koloru śliwkowego (p r u n e s) będącego ciągle w modzie. Karoczek i epolety są oprócz tego oszyte szeroką frendzlą. U dołu spódnicy dany taki sam wolant, jak przy rękawach.



N. 21. Spacerowy składany parasolik otwarty. Patrz N. 20.



N. 11. Wachlarz, Pompadour" z rączką. Otwarty. Patrz N. 12.



N. 13. Japoński wachlarz parasolkowy. Otwarty. Patrz N. 14.

N 23. Parasolik

z tiulowemi falbanami.

Całą powierzchnię pokrycia z materji jedwabnéj zajmuje 6 jedna na drugą zachodzących falbanek. Każda falbanka jest 8 cent. szeroka, wycięta w ząbki 2 cent. szerokie, a 1 ³/₄ głęboko wycięte i oszyte pikotami. Kokarda z wstążki rypsowéj.

N. 24. Czepeczek i stanik

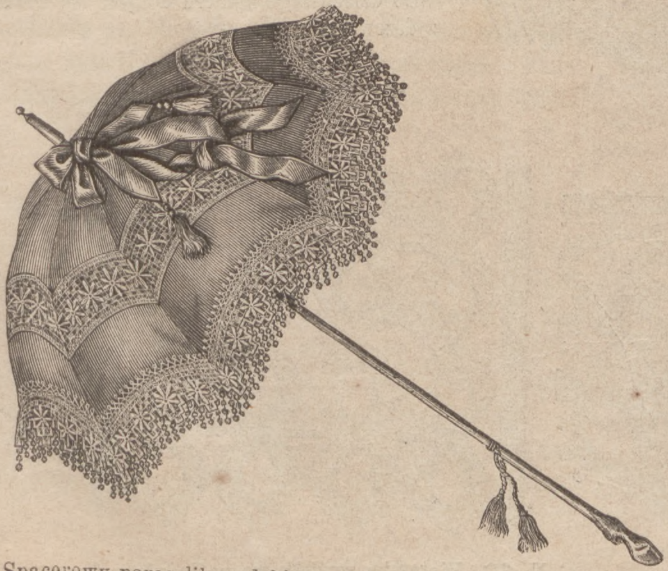
pod szyję do sukni wizytowéj.

Podstawę do czepeczka stanowi kawałek sztywnego tiulu, wycięty w kształcie podkowy, obszyty drucikiem

N. 25—26. Paletot

ozdobiony wyszyciem ze sznura z pliskami.

Paletocik podany z przodu i z tyłu na rycinie 25 i 26, odszyty jest z cienkiego sukna, j a s n o brązowego k o l o r u, formą wcinaną z tyłu do figury, i składa się z dwóch części, z których wyższa wycięta w zęby naśladuje jakby drugi krótszy kaftaniczek. Część niższą przybraną atłasowemi pliskami i wyszyciem ze sznura, łączy się w ten sposób z częścią wyższą, iż ząbki zupełnie pokrywają zeszycie. Górna połowa kaftanika zeszywa się z sobą, ząbki wyszywają sznurkiem i obejmują atłasem, a dopiero po wykończeniu przyczepia się pod ząbkami nieznacznemi ściegami połowę dolną, także zeszytą na bokach i



N. 22. Spacerowy parasolik ozdobiony tiulem gipiurowym.



N. 18. Parasolik o długiéj lasce z rączką.



N. 19. Parasolik o długiéj lasce z kokardą w górze.



N. 23. Spacerowy parasolik naszyty tiulowemi falbankami.

przybraną atłasem. Możnaby kaftanik przykroić, w całości i tylko naszyciem garnirunku odznaczyć obie części, lecz w takim razie ząbki nie odstawałyby wcale i nie odznaczały się tak ładnie jak na wzorze.

Kontrafałda odznaczająca się dokładnie na rycinie 26, ułożona jest z kawałka materjału 21 cent. długiego, 24 cent. szerokiego u dołu, a 10 cent. u góry. Przyszycie fałdy zasłania u góry gustowna rozeta z pasmanterji. Skośny mankiet naszyty na wierzchu rękawów rozszerza się od 10 do 16 cent. z brzegów. Rycina 26 podaje kaftanik z tyłu z odmiennym przybraniem, gdyż cała część dolna i mankiety wyszyte są sznurem w bogaty deseń. Dół kaftanika, kołnierzyk i rękawy u ręki, zakończa koronka koloru materjału kaftanika.

N. 27. Suknia wizytowa vêtement.

Stanik z tuniką może być skrajany w jednym ciągu lub osobno i łączyć się pod paskiem. Podana przez nas tunika krajana jest osobno, a bluzka z kolorowej materji pokryta gładko materjałem z którego tunika zrobiona. Zamiast zwykle używanej grenadiny, gazy jedwabnej lub t. p. materjałów podajemy dziś vêtement z białego, cienkiego bareżu w jedwabne paski, na sukni gładkiej z lila materji, co także bardzo elegancko wygląda.

Stanik z szelkami i tunika, przybrana jest u dołu falbanką z nagłówkiem 6 cent. szeroką, oszytą u dołu frendzlą 4 cent. szeroką, z krepowanego jedwabiu. Trzy jedna na drugą zachodzące falbanki, oszyte frendzlą, 8, 7 i 6 cent. szerokie, z których najwyższa zakończona jest nagłówkiem, stanowią suty garnirunek rękawów. Dolna jest 72 cent. szeroka, górne zaś falbanki mają po 56 cent. szerokości. Pasek kokardy i guziki jedwabne, są koloru sukni.



N. 24. Czepeczek wizytowy i stanik pod szyję.



N. 25. Paletocik przybrany sznurem i pliskami. Patrz plecy N. 26.



N. 26. Paletocik wyszyty sznurem i oszyty koronką. Patrz N. 25.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Groch zielony na zimę.

Groch młody w strączkach wyłuskać, wsypać na gotującą wodę, parę razy zagotować i wyjąć na przetaki. Jak obeschnie, rozpostrzeć na blachy, wstawić w piec bardzo wolny, a po obeschnięciu wsypać w słój i w zimie używać według woli. M. S.

Groch zielony innym sposobem na zimę.

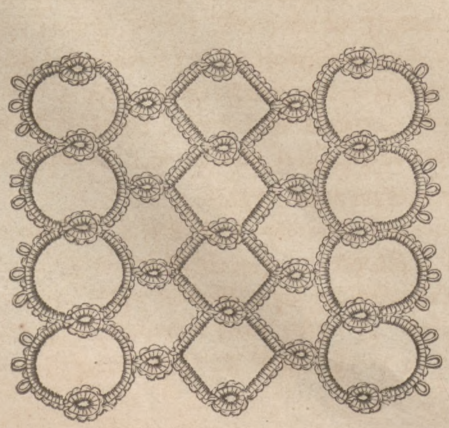
Wyłuskać groch ze strączków, na noc zasolić go, potem obsuszyć i wsypać w butelki, zakorkować, z wierzchu korki obwiązać, wstawić w kociołek butelki przegrodzone słomą, nalać zimną wodą i zagotować. Jak woda trochę ostygnie po odstawieniu kociołka, wyjąć butelki, zalać żywicą i do piwnicy wynieść.

M. S.

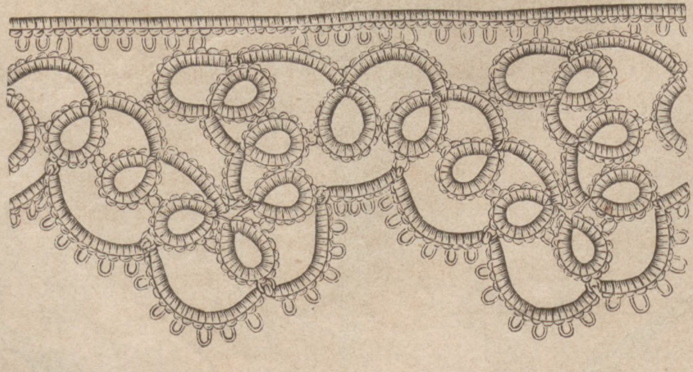
Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.



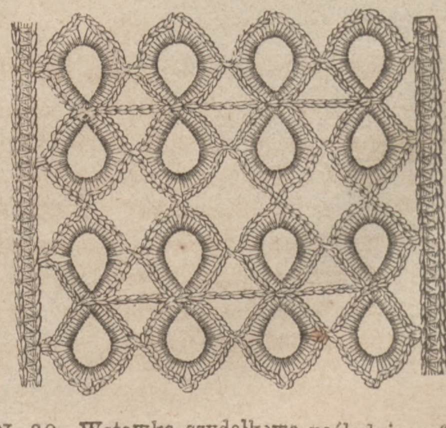
N. 27. Suknia wizytowa z vêtement.



N. 28. Wstawka frywolitowa.



N. 29. Oszycie frywolitowe.



N. 30. Wstawka szydełkowa naśladująca frywolity.